

9		10	11	12	13
22		23	24	25	26
35	36	37	38		39
47	48	49	50		51
59	60	61	62	63	64
72		73	74	75	76
84	85	86			87
95	96	97	98	99	100
108	109	110	111	112	
121	122	123	124	125	
134	135		136	137	
146		147	148	149	150
158	159	160	161	162	

Tajemnice mózgu przestępcy

str. 12, 10

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

NR 20 (866)

5 października 1986

Cena 15 zł

Kolorowe jarmarki

STR. 5

Tańczyłam jedno lato

STR. 9

„Tanie” przedszkole

STR. 4



Rys. Zbigniew Cieniuch

DROŻDŻE LUBELSKIEJ KULTURY Okolice Października '56

Zygmunt Mańkowski

KIEDY przed przeszło trzydziestu laty, w 1954 roku (Boże! Jak ten czas leci!), przybyłem do Lublina, aby objąć stanowisko adiunkta w organizowanej wówczas przez profesora Kazimierza Myślińskiego Katedrze Historii Polski na (tak się wówczas mówiło) Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej, zastałem, co tu dużo mówić, miasto zaniedbane, bardzo prowincjonalne (mimo dwóch uniwersytetów) i opasłe

na „kocie łby” Krakowskiego Przedmieścia (jeszcze nie położono asfaltu) i poruszające się zwawo, grzechoczące wesołe konne dorożki z charakterystycznymi budami (gdzie wy, ach gdzie?). śmiałyśmy się, że nie bez powodu nad hotelem wieczorami błyskał, jedyny zresztą w mieście neon, dumnie obwieszając: „Europa”!!!
Ale mój przyjazd do Lublina zbieł się w czasie z ewalutowymi przemianami, jakimi ulegały wówczas kraj i miasto. Rozwijały się oba uniwersyte-

ty, na pełnych obrotach funkcjonowała Fabryka Samochodów Ciężarowych (lubliny) rosły nowe dzielnice... Coś się zmieniało w barwie i klimacie owych czasów. Nadchodziła „odwilż”. Przedwiośnie. Zbliżał się czas październikowych przemian, następowała era Gomułki. Do lubelskiej inteligencji i młodzieży docierały coraz odważniejsze numery pisma „Po Prostu” przełamują izolację Katolicki Uniwersytet Lubelski, podniecenie ogarniało studentów i młodzież liczyli, a znako-

mitych dawniej, liceów (Staszic, Zamojski) — wszyscy jakby budzili się z długotrwałej drzemki.

Początkowo zamieszkiwałem w baraku UMCS na ul. Spokojnej (22 Linca), później w starej oficynie na placu Bychawskim (w mieszczacej się tam stacji meteorologicznej), by wreszcie triumfalnie z robotnikami, aktorami, dyrektorami „wejść do śródmieścia”, czyli... objąć w posiadanie własne małe, ale mile mieszkanie w nowo zbudowanych, stylowych kamieniczkach na pl. Podzameczu (później plac Zebrań Ludowych) — na rzeciw Królewskiego Zamku. W sąsiednich „apartamentach” zamieszkał: aktor Stanisław Mikulski (Kłosa), sekretarz redakcji „Sztandaru Ludu” koneser brydża tenisa i malarstwa Edmund Grzybowski... no i sami ludzie różnych zawodów, wieku i autoramentu.

Świeżo przebudowany z wietnienia (tak!) Zamek otoczony zielonymi zbo-

Dokonczenie na str. 3

z notatnika

27-28 IX. Średni wiek członka nowego wybranej 22-osobowej (mężczyźni — dziewiętnaście, kobiety — trzy) egzekutywy KW PZPR w Lublinie wynosi 44 lata, zaś członka sekretariatu — 45 lat, akurat tyle ile liczy sobie I sekretarz KW Andrzej Szpringer. Czternastu członków egzekutywy KW ma studia wyższe, wśród nich — wszyscy członkowie sekretariatu. Rozpiętość wieku członków egzekutywy — od 30 do 67 lat, zaś członków sekretariatu — od 36 do 55 lat...

XXI Wojewódzka Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza PZPR w Lublinie obradowała w dniu 25 września br. w sumie — wliczając przerwy — dwanaście godzin. Wśród gości — członek Biura Politycznego, sekretarz KC, Tadeusz Porębski.

Jak przebiegały same wybory? Delegaci w tajnym głosowaniu wybrali członków KW. Członkowie KW po skonsultowaniu się z delegatami dokonali wyboru I sekretarza KW, a następnie, również w tajnym głosowaniu — wyboru egzekutywy i sekretariatu KW. Trochę to trwało, ale zasady demokracji zostały całkowicie spełnione, a sprawnie prowadzący tę część obrad konferencji Stanisław Jedrych nie ponaglał do zamknięcia listy kandydatów, co się w przeszłości zdarzało. Nikt spośród kandydatów aż do momentu ogłoszenia wyników głosowania nie był pewien, jak rozłożyła się głosy delegatów. Inne zresztą ma się samopoczucie, kiedy wszyscy się, dajmy na to, 90 proc. głosów, a inne, gdy 60 proc. Przy 30-procentowej różnicy raczej trudno mówić o przypadku, chociaż trend, aby głosować na młodszymi dół się odczuć, czego ganić specjalnie nie można, bo w obecnych trudnych czasach liczą się i intelekt i siły fizyczne. Nie tylko w Lublinie i nie tylko w Polsce, bo można zilustrować wieloma przykładami.

Wśród dokumentów, które otrzymali delegaci, były sprawozdania: Komitetu Wojewódzkiego, Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej i Wojewódzkiej Komisji Rewizyjnej.

Poprzednia XX Wojewódzka Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza PZPR w Lublinie z udziałem I sekretarza KC, gen. Wojciecha Jaruzelskiego, odbyła się 17 stycznia 1984 r. W okresie sprawozdawczym Komitet Wojewódzki zbierał się osiemnastokrotnie na posiedzeniach plenarnych, w tym dwukrotnie na wspólnych posiedzeniach z Wojewódzkim Komitetem ZSL, poświęconych problematyce wspólnej.

Odpowiada w tym miejscu, że m.in. tematami spotkań były: kampania wyborcza kad narodowych i do Sejmu, budownictwo mieszkaniowe, kultura, ideologia, oświata, praca partii w środowisku robotniczym, polityka kadrowa, aktualne zadania społeczno-gospodarcze, przygotowania do Zjazdu PZPR, sprawy wewnętrzpartyjne. Trzeba stwierdzić z satysfakcją, że członkowie usłuchującego Komitetu Wojewódzkiego z należytą uwagą potraktowali sprawy kultury. Odbyło się pierwsze w Lublinie plenum KW poświęcone w całości tematu oświaty. (Poprzedziła ona sesję WRN na ten temat.)

O posiedzeniach plenarnych KW prasa społeczna informowała szerzej, natomiast o posiedzeniach egzekutywy KW — sporadycznie, a przecież egzekutywa w okresie sprawozdawczym zbierała się 76 razy, rozpatrując 224 tematy, czyli przeciętnie trzy tematy na jedno posiedzenie. Przeważały problemy wewnętrzpartyjne, ale było też wiele tematów ekonomicznych (w tym 18 rolniczych), 14 związanych z nauką i oświatą, a — z bezpieczeństwem i porządkiem publicznym. Były też wyjątkowo posiedzenia egzekutywy. Z kolei sekretariat KW zebrał się 84 razy, w tym dwunastokrotnie na posiedzeniach wyjazdowych. Wachlarz poruszanych tematów był ogromny, a czym kierowały sama ich liczba — 69.

Statystyka statystyką, ale za tymi liczbami kryją się już nie setki, ale tysiące godzin wyłożonej pracy wielu aktywistów partyjnych. Udało się, choć nie wszędzie i nie wśród wszystkich, przełamać nastrój pesymizmu i liczne dyskusje oraz rozmowy indywidualne z członkami partii pozwoliły umocnić poszczególne ogniwa wojewódzkiej organizacji partyjnej i sprawdzić, powiódźbialbym rozpiszać program X Zjazdu PZPR na lubelskie, nie tak znów mało, podwórko.

Dyskusję na XXI Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR otworzył referat ustępującego I sekretarza KW, Andrzeja Szpringera. Przedstawiciele prasy — jeśli tego pragnęli — otrzymali maszynopis tego referatu, ale z adnotacją „nieaktualny”. Andrzej Szpringer, członek Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, stale ten tekst ulepszał i celował poszczególne sformułowania, widział, że trud helmuskiej wybitnej po-

lonistki z Liceum im. Stefana Czarneckiego p. Zofii Książek, nie poszedł na marne...

Referat więcej miał barw czarnych niż białych. Owszem, mówił o osiągnięciach, ale nie tań braków, był ściśle związany z codziennym życiem, które do łatwych nie należy. Słowem nie rozmyślał się z rzeczywistością.

Weźmy na przykład rolnictwo naszego regionu. Woj. lubelskie pod względem jakości gleb i naturalnych warunków dla produkcji rolnej zajmuje w kraju 7—8 miejsce, ale jego wkład do — mówiąc skrótowo — ogólnopolskiego spichlerza lokuje je dopiero pod koniec trzeciej dziesiątki województw. Niekorzystna struktura agrarna, wielka liczba małych gospodarstw prowadzonych przez dwuzadobców to podstawowe przyczyny pozostawania w tyle. Chłopi wołają: więcej ciagników, więcej maszyn rolniczych, a przecież te, które są, wykorzystuje się w nikłym procencie. Dodam od siebie, że naczelnik jednej z gmin naszego województwa mówił mi kiedyś, że biorąc procentowo, jego gmina ma więcej maszyn niż Francja (!). Słowem: na pole i do szopy, dla siebie i pod siebie. Aż 26 proc. gospodarstw nie produkuje na rynek, 20 procent to niemało!

Dalej: problem mieszkaniowy. Nie kończące się spory — wielka płyta czy cegła, wieżowce czy domki jednorodzinne — nie kończące się dyskusje sprawiły, że dziś w kolejce czeka się coraz dłużej. Dziś mówimy: i wielka płyta, i cegła, i wieżowce, i domki. Byłyby dobrze, solidnie oszczędnie, a co najważniejsze, mądrze i szybko.

By uprzedzić tradycyjne już wołanie o materiały budowlane i ręce do pracy, mówimy również: część brakujących materiałów jest... na placach budów. To te materiały, które tkwią w konstrukcjach zmontowanych, lecz nie wykonanych budynków. To również materiały wdeptane w błoto i rozrzucone na kilometrach transportowych tras. Jak je odzyskać? Przede wszystkim skoncentrować inwestycje, wprowadzić surową dyscyplinę inwestowania, drastycznie skrócić cykle inwestycyjne i poprawić projektowanie. A ludzie? Ludzie są również... na listach żądań budowlanych. To właśnie ci pracownicy, którzy z powodu złej organizacji frontu robót, z braku nadzoru oraz innych przyczyn siedzą i czekają na pracę.

Gdybyśmy energię marnowaną na wynajdywanie trudności obiektywnych i usprawiedliwień przeznaczyli na łamanie barier niemożności, mogliśmy sobie oszczędzić wielu z tych gorzkich stwierdzeń.

Rynek, zaopatrzenie, handel. Spotykamy się często z opiniami o gorszym zaopatrzeniu rynku w naszym województwie niż w innych regionach kraju. Na ile te opinie są prawdziwe? Różnice terytorialne w zaopatrzeniu rynku wynikają z możliwości jego uzupełnienia przez lokalny przemysł terenowy i drobną wytwórczość. Zupełnie odrębną sprawą jest operatywność handlowców, co do których opinie mieszkańców Lubelszczyzny nie są, niestety, najlepsze.

Przemysł województwa lubelskiego nie jest nastawiony w głównej swej masie na produkcję rynkową. Tym bardziej powinno nam zależeć na rozwijaniu przemysłu terenowego (w którym mamy tylko pięć jednostek), spółdzielczości pracy oraz rzemiosła i drobnej wytwórczości. Rozumiemy oddziaływanie bariery inwestycyjnej, ale jednocześnie mamy świadomość, że niewiele czynimy, by rozwojowi tych źródeł produkcji stworzyć odpowiednie warunki.

Z wyjątkiem nielicznych placówek w nowych osiedlach mieszkaniowych Lublina i kilku większych miast w naszym województwie króluje handel zza lady. Ta nies efektywne, XIX-wieczna forma handlu jest jedną z głównych przyczyn straty czasu obywateli, kolejek i w efekcie niezadowolonych ludzi pracy. Inna sprawa to godziny pracy placówek handlowych i system pracy w wolne soboty. W całym świecie organizacja handlu podporządkowana jest potrzebom i wygodzie klientów. Nie widzimy powodów, by w województwie lubelskim musiało być inaczej. Nie może nas również satysfakcjonować sytuacja panująca w usługach, gdzie liczba jednostek w ostatnich dwóch latach uległa zmniejszeniu o blisko sto placówek i to w branżach szczególnie istotnych dla zaspokojenia potrzeb ludności: szewskiej, remontowo-budowlanej, kowalско-ślusarskiej czy szklarskiej. Nie jest to tylko brak odpowiednich fachowców, ale także brak dzia-

łań stymulujących ze strony administracji państwowej.

Gospodarka. Rosnie produkcja przemysłowa, ale wielkość rzeczowe produkowanych wyrobów są jeszcze niejednokrotnie niższe niż w roku 1979, co świadczy o tym, jak drastycznie było załamanie się gospodarki. Starzeje się park maszynowy, a zamierzania modernizacyjne postępują w małym zakresie. Wciąż aktualnym tematem jest poprawa organizacji i jakości pracy oraz gospodarowania zasobami pracy. Gdy mowa o pracy trzeba podkreślić, że niezadowolający jest również stan dyscypliny. Tylko w pierwszym półroczu br. w większych zakładach pracy Lublina stwierdzono 748 przypadków (a ile nie stwierdzono?) spożywania i wnoszenia alkoholu przez pracowników. Tym bardziej musi oburzać dziwnie beztroski stosunek kierownictwa przedsiębiorstw do tych zjawisk, gdyż zaledwie 40 proc. sprawców tego rodzaju poważnego naruszenia dyscypliny pracy zostało ukaranych.

Mając na uwadze przeciwdziałanie złej organizacji pracy, racjonalne wykorzystanie zasobów pracy i zasobów materiałowych, wzrost poziomu technicznego wytwarzania oraz poprawę warunków pracy, partia zainicjowała powszechny przegląd struktur organizacyjnych przy wykorzystaniu metody atestacji stanowisk pracy. Nie może to być akcja jednorazowa. Ważnym czynnikiem będzie wartościowanie pracy i tworzenie właściwych relacji płacowych między grupami zawodowymi, poszczególnymi stanowiskami pracy i jakością produkcji. W tej kwestii toczyliśmy dyskusje od kilku lat bez zauważalnych zmian. Potwierdzeniem tego niech będzie przykład że tylko 15 procent przedsiębiorstw wprowadziło zakładowe systemy wynagradzania. To musi się zmienić!

Od środowisk naukowych oczekujemy koncentracji potencjału badawczego i środków na tych kierunkach, które z racji wypracowanych już doświadczeń rokuja największe nadzieje na osiągnięcie konkretnych efektów. W 1985 r. na działalność naukowo-badawczą przeznaczono w naszym województwie 2,5 miliarda zł zrealizowano 307 tematów badawczych objętych planem centralnym oraz 461 w ramach zleceń gospodarki uspołecznionej. Niby dużo, ale... Spośród np. 213 prac o charakterze wdrożeniowym, wykonanych w naszych instytucjach, zaledwie 18 zdołano dotychczas wdrożyć. Przed organizacjami partyjnymi, przed administracją państwową i gospodarczą stawiamy zadanie tworzenia klimatu sprzyjającego kierowaniu sił i środków na wdrażanie postępu naukowo-technicznego. Lubelska specjalność to: badania z dziedziny optoelektroniki i światłowodów, wydobycia, wzbogacania i przetwórstwa węgla, szereg kierunków z dziedziny rolnictwa i przetwórstwa rolno-spożywczego, kształtowania i ochrony środowiska, a także z zakresu ochrony zdrowia i nauk medycznych.

Lubelskie szkolnictwo wyższe wniosło olbrzymi wkład w socjalistyczny rozwój kraju, ale obecnie nasze uczelnie jakby zastęły w swym dotychczasowym kształcie. Pod adresem szkół wyższych i placówek naukowo-badawczych, a równocześnie pod adresem zakładów przemysłowych, zgłaszamy propozycję tworzenia wspólnych laboratoriów, zakładów doświadczalnych i zespołów konstrukcyjnych zajmujących się sprawami wdrożeń nowych rozwiązań technicznych i technologicznych, a także rozwojem techniki, metod organizacji i zarządzania, praktycznym zastosowaniem socjologii i psychologii.

Z niepokojącymi zjawiskami spotykamy się również w sferze dydaktyki i wychowania. Szczególnie wiele do życzenia pozostawia terminowość kończenia studiów oraz wyniki uzyskiwane przez studentów. Niezbędne jest dokończenie rozpoczętych już inwestycji, kontynuowanie rozbudowy bazy Akademii Rolniczej w Felinie oraz podjęcie próby rozwiązania najpilniejszych potrzeb Akademii Medycznej. Liczymy w tej dziedzinie na pomoc zakładów przemysłowych Lubelszczyzny i sąsiadnych województw. Nadchodzi też czas, by zastanowić się nad powołaniem w UMCS wydziału nauk społeczno-politycznych.

W szkolnictwie wyższym widzimy ważny element całego systemu polityki kadrowej i dlatego to, co dzieje się za murami uczelni, to, jak pracują i jak wychowują one młodzież nie może być wyłącznie wewnętrzną sprawą społeczeństwa akademickiego. Mamy nie tylko

prawo, ale i obowiązek domagać się, by uczelnie przygotowywały nie tylko dobrych fachowców, ale również obywateli ideaowych, ludzi o szerokich horyzontach, ambitnych i twórczych.

Wychowaniem ideowym młodzieży nie powinni zajmować się ludzie przypadkowi, nie przekonani, a już w żadnym razie wrogo nastawieni do idei, które mają głosić. Efektom widocznych jakościowo zmian w oświacie na terenie naszego województwa jest fakt, że na 21 szkół w kraju aż pięć szkół lubelskich przyjęło do Ogólnopolskiego Klubu Produkcji Szkół (Zespół Szkół Geodezyjno-Drogowych, Zespół Szkół Mechaniczno-Energetycznych, Zespół Szkół Zawodowych nr 10 oraz szkoły podstawowe nr 6 i 27). Tylko w latach 1984—1985 wybudowano w województwie 22 obiekty oświatowe, w budowie jest dalszych 57 obiektów, a więc mimo trudnego okresu osiągnęliśmy efekty większe niż kiedykolwiek w przeszłości.

Kultura. Konieczne i możliwe do zrealizowania są następujące inwestycje: zakończenie budowy gmachu teatru i filharmonii, rozbudowa i poprawa warunków funkcjonowania lubelskiej poligrafii, budowa studia TV w Lublinie i stacji przekładnikowej dla wszystkich programów radia i TV w pobliżu Piask, kontynuowanie/rewaloryzacja obiektów zabytkowych Lublina i Kazimierza, zapewnienie warunków prawidłowego funkcjonowania Teatru Muzycznego.

Pytanie o kulturę musi stać na równi z pytaniem o zagadnienia ekonomiczne i socjalne; to w obszarze kultury szukamy często odpowiedzi na pytanie: „jak żyć?”

Kończący fragment swego wystąpienia I sekretarz KW PZPR poświęcił problematyce pogłębienia demokracji, poszerzenia porozumienia narodowego, pracy rad narodowych (niektóre rady narodowe nie wykonywały w pełni swych ustawowych kompetencji); podkreślił, że PRON jest istotnym czynnikiem rozwoju socjalistycznej demokracji i integracji społecznej, wskazał na rolę organizacji młodzieżowych i klasowych związków zawodowych; Andrzej Szpringer mówił również o polityce kadrowej (wprowadziliśmy do praktyki jednolite kryteria doboru kadry, opinowania kandydatów przez macierzyste organizacje partyjne), o sprawach wewnątrzpartyjnych. Partia musi stać się siłą intelektualną i nowatorską, podejmująca trudne problemy społeczne, polityczne i gospodarcze kraju, województwa i środowiska, poszukująca nowoczesnych rozwiązań, popierająca jednostki twórcze, dynamiczne i ambitne, walczącą z siłami hamującymi postęp.

Wojewódzka organizacja partyjna liczy dziś 49 674 członków i kandydatów. W trakcie kadencji przyjęto ponad 3 100 kandydatów. Od lipca 1985 r. odnotowujemy stały wzrost liczebności naszych szeregów, chociaż tempo tego wzrostu uznajemy za niewystarczające. Spotykamy się — mówią I sekretarz KW PZPR — z przypadkami lekceważenia przez członków partii, także tych, którzy zajmują odpowiedzialne stanowiska w administracji państwowej i gospodarczej, ważnych decyzji i uchwał partyjnych. Bywa i tak, że działają oni wbrew tym uchwałom, które sami podejmowali. Oddzielenie ideologii od polityki, od problemów ekonomicznych, od codziennej praktyki to główna słabość naszych szeregów. Wspomniane zjawiska są na tyle częste, że nie można ich nie zauważać.

Obszernie omówiłem zawarty na 36 stronach maszynopisu referat I sekretarza KW PZPR, ponieważ jest to dokument ważny i niejako programowy. W rozpoczętej kampanii sprawozdawczo-wyborczej w instancjach i organizacjach partyjnych powinien on być przed zebraniem należycie przestudiowany przez wszystkich członków partii i stanowić podstawę wnikliwej dyskusji. Podkreślam przysłuchiwałem się całości dyskusji na Konferencji Wojewódzkiej i tylko momentami odnosiłem wrażenie, aby ktoś bezpośrednio ustosunkowywał się do tego referatu, a przecież niektóre jego sformułowania mogłyby niektórym delegatom wydawać się zbyt ostre i zbyt krytyczne. Rzecz w tym — a nie piszę tego po raz pierwszy — że poszczególne dyskusjanci uprzednio przygotowują sobie przemówienia nie znając przecież treści zasadniczego wystąpienia. Nie jestem zdecydowanie przeciw pisaniu przemówień, bo zawsze lepiej mieć przed sobą maszynopis, człowiek ma mniejszą treść i wie, że o niczym nie zapomni! ale przecież należałoby częściej odrywać się od góry opracowanego tekstu. Bardzo byłbym ciekaw, jeśli na przedkład konferencji zaaprobowałaby wniosek: „Mówimy a nie czytamy” lub dyskusjantów zrezygnowałoby z zabrania głosu z

użyty? Zdaje sobie sprawę, że te wystąpienia byłyby może chwilami ciekawskie, sprawiałyby trudność przy wypracowaniu protokołu, kiedy wszystkim trzeba by czytać z taśmy magnetofonowej, ale z pewnością wzbudziłyby większe zainteresowanie delegatów, ważna jest bowiem nie tylko treść, ale i forma.

Te dygresje ale, moim zdaniem, dość istotna skoro nawet wojewoda odczytał uprzednio przygotowany tekst, w którym — w przeciwieństwie do referatu i sekretarza KW PZPR — barwnie białe znaczenie przeważały nad barwnymi czarnymi. Może w ten sposób zachowana została należąca proporcja, ale przecież w wystąpieniu Andrzeja Szpeingera znalazły się konkretne krytyczne uwagi pod adresem administracji. Nieustosunkowanie się do nich postrzegałoby uczucie — sądzę, że nie tylko u mnie — niedosytu. Wspominałam o tym nie po to, aby kogokolwiek urazić, ale po to, aby uniknąć podobnych wypadków w przyszłości.

Chciałbym teraz omówić niektóre wystąpienia. Wybieram te, które wydały mi się najbardziej interesujące, niekiedy jest to sąd indywidualny, na który w piśmie, nie ukazującym się codziennie, mogę sobie pozwolić. Wskazuję że dyskusje relacjonowały już wycinkowo gazety.

Stefan Karaś, tokarz z puławskich Zakładów Azotowych przypomniał, że Azoty przeżywały w ostatnim okresie poważne trudności gospodarcze spowodowane głównie ograniczoną dostawą surowców, brakiem materiałowym oraz niedoborem mocy wykonawczej. Stopniowe narastanie trudności produkcyjnych i w konsekwencji finansowych doprowadziło do powołania w maju ub.r. zarządu komisarycznego. Podjęto szereg działań, które w konsekwencji pozwoliły zakładowi odzyskać od lipca br. zdolności kredytowe. Jednym z podstawowych zagadnień decydujących o dalszej poprawie sytuacji produkcyjnej jest stopniowa odbudowa poziomu zatrudnienia, co wymaga poprawy warunków bytowych pracowników. Nie wszystkie problemy udało się rozwiązać we własnym zakresie, a przecież zakłady wytwarzają ponad 40 proc. krajowej produkcji nawozów. Organizacja partyni widzi potrzebę stworzenia określonych preferencji dla przemysłu nawozowego, w tym szczególnie zwiększenie dyspozycyjności środków dewizowych. Jakimi dysponuje przedsiębiorstwo. Potrzebne są ważne inwestycje z zakresu ochrony środowiska, co będzie kosztować ok. dwóch miliardów złotych. Sami takich środków nie wypracujemy.

Znając sytuację w puławskich Azotach i obserwując postępującą degradację środowiska naturalnego w tym pięknym rejonie doceniłam szczególne zainteresowanie wojewódzkiej instancji partyjnej tematem. W Azotach odbyło się wyjazdowe posiedzenie sekretariatu KW PZPR, które zapoczątkowało zmiany na lepsze, ale chyba ostatnie słowo jeszcze nie padło. Wiem, że wszyscy wolają o dotacje, ale jeśli już miałam wskazać, to przede wszystkim pomógłby takim, którzy mogą osiągnąć innymi.

Trudności przeżywają też Zakłady Elektromaszynowe EDA w Poławskiej. Mówił o nich **Marian Moszyński**, sekretarz Komitetu Zakładowego. W 1975 z rozpoczęto rozbudowę zakładów, chodziło o zwiększenie produkcji sprzętu do chłodni domowych i silników do prądni automatycznych. Inwestycje w 1981 r. wstrzymano z powodu braku środków, a w 78 procentach była już ona gotowa. Od 1981 r. prowadzi się intensywne zabiegi, mające na celu wykorzystanie wybudowanych obiektów.

Zakład opracował trzy warianty wykorzystania powierzchni produkcyjnej.

Pierwszy, podstawowy: rozwój produkcji sprzętu do chłodni domowych. Ale... Trzeba zakupić licencje i wyposażenie głównie z krajów zachodnich, wyważone ok. 20 milionów dolarów i 12 miliardów zł. Oczywiście tych pieniędzy EDA nie ma.

Drugi: rozwój wyrobów finalnych, na przykład schładzarki do mleka (nie bardzo wiem, o co tu konkretnie chodzi, ale fachowcy zapewne się zorientują).

Trzeci: rozwój produkcji silników do artykułów zmechanizowanych z przeznaczeniem na kraj i na eksport.

Istnieje również propozycja przeznaczenia hali na produkcję towarów towarzyszących.

Decyzja potrzebna jest już dziś. Miejska decyzja. „Nas — podkreślił **Marian Moszyński** — urządzi każda, bo reformy chyba nikt nie cofnie, a prawa ekonomiczne są nieublagane. Decyzję inwestycyjną podejmujemy sami, ale musimy mieć pewność co do dwóch spraw: czy licencja zostanie zakupiona, czy otrzymamy zapewnienie co do środków dewizowych na zakup wyposażenia. Je-

żeli odpowiedź na te dwa pytania, lub przynajmniej na jedno, nie będzie pozytywna, to z przyczynienia, ale zgodnie z przepisami, musimy zrealizować warianty zastępcze, aby nie doprowadzić do krachu przedsiębiorstwa i nie pozostawić załogi bez wyśicia.

Podoba mi się takie stanowisko, bo leży się z realiami kraju i z dobrem załogi. Oczywiście najlepszy byłby ów wariant pierwszy, ale wedle stawu grobla... Gomulka z przykrym głosem: „Z pustego i Salomon nie naleje”.

Ponieważ sprawy produkcyjne są teraz tak istotne, warto jeszcze odnotować fragment wystąpienia **Zenona Grzesiaka**, kontrolera jakości w Zakładach Metalowych „Ursus”.

„Patrzac codziennie na brawie gotowa, ale w znacznej części martwa, pozbawiona maszyn, hale o powierzchni ośmiu hektarów, myślę, że jesteśmy jako państwo albo tak bogaci, że stać nas na trwonienie tego co z tak wielkim trudem powstało, albo tak biedni, że nie możemy wyasygnować niewielkiej już — w stosunku do całej inwestycji — kwoty na dokończenie dzieła”.

W tej niezagospodarowanej hali — dodam — odbyła się w tym roku wojewódzka akademia pierwowzrostowa. Bliżej klasy robotniczej, zgoda, ale za pewne przedstawiciele tej klasy właśnie w trakcie trwania akademii mogli zadawać sobie to samo pytanie, które teraz padło z ust Zenona Grzesiaka.

Janusz Czapski, przewodniczący NSZZ Pracowników Lubelskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Miejskiego, musiał z góry być przygotowany na to, że o budownictwie nie będzie się mówić w superlatywach. Stwierdził, że zaawansowanie planu rocznego do ośmiu miesięcy wynosi 46,2 proc. przy średniej krajowej 43,6 proc., co stawia lubelskie województwo na 20 miejscu w kraju. Dobrze, że nie na 49 — dodam od siebie... **Janusz Czapski**, tak na szefa związku zawodowego przystało, zapewnił, że również w budownictwie praca ucieszy ludzi, choćby rzetelna praca zarobiła na życie, a marginesy buźmelancja partactwa i indolencji nie jest większy niż gdzie indziej.

LPBM buduje jedną trzecią mieszkań w województwie. Ostatnio firma przeżyła pewne tarapaty. Na skutek powolnego i niezbyt umiejętnej przystosowania się do zasad reformy gospodarczej utraciła zdolności kredytowe i organ założycielski musiał ustanowić zarząd komisaryczny. Minęło pół roku ciężkiej i trudnej pracy, ale są już pierwsze efekty. W stosunku do ubiegłego roku w ciągu ośmiu miesięcy wykonano o 27 proc. więcej metrów kwadratowych powierzchni użytkowej, zaś wydajność pracy wzrosła o 36 proc. Zdaniem mówcy „przełamaliśmy fatalną i zbyt przedzielną chyba w naszej gospodarce zasadę, że przedsiębiorstwo udaje, że plać, a ludzie udają, że pracują”.

Ale... Ponad dwie trzecie budynków w woj. lubelskim i wszystkie w LPBM montuje się z gazobetonowej ściany scalonej, wykonanej przez „Prefabek” w Puławach. Wszystko byłoby na dobrej drodze, gdyby nie brutalny kopniak, jaki otrzymało lubelskie budownictwo ze strony resortu chemii. O co chodzi? Do produkcji ściany scalonej niezbędna jest pewna ilość kleju vinacetu DPM-50, produkowanego przez Zakłady Chemiczne w Oświęcimiu. Od dwóch tygodni w województwie niemal nie montuje się budynków, bo ktoś w resorcie chemii — cały czas cytując słowa **Janusza Czapskiego** — bez jakiegokolwiek uprzedzenia wydał zakaz dostaw winacetu do budownictwa. Powoduje to sytuację dramatyczną, przedsiębiorstwo nie może zakończyć montażu budynków. Interweniował wojewoda, Komitet Wojewódzki, choćby kleju, którego wystarczy na trzy tygodnie, otrzymało. Co dalej? Czy za miesiąc budowy znów staną?

Nie jestem, żebym podkreśliam, fachowcem, nie wiem dlaczego resort chemii wydał taką decyzję. Nie dziwiłbym się jednak, gdyby się okazało, że ten klej jest szkodliwy dla ludzkiego zdrowia. Chemia we współczesnym budownictwie już nam tego typu niespodzianki serwowała. Ale jeśli tak jest i w tym przypadku (??), to trzeba byłoby szukać innego kleju, a budowy ślimaczyłyby się długo.

Z tym, co mówił **Janusz Czapski**, jakby zderzył się **Zygmunt Zmarzłak**, zastępca dyrektora NIK do spraw Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej.

„Trudno jest — stwierdził — przeciećnemu obywatelowi zrozumieć wzrost kosztów budownictwa mieszkaniowego i przemysłowego w sytuacji ciągnących się od lat martwych olawów budów, marnotrawstwa materiałowego, braku dyscypliny, a niekiedy pijaństwa i partactwa. Sądził należało, że problemy te są dobrze znane kierownictwu przedsiębiorstw, że nie musiała tego odkryć kontrola społeczna, by w czasie

tylko jednej ukarać 112 pracowników”.

Zygmunt Zmarzłak podał wiele przykładów niedbalstwa. W sytuacji, gdy mamy do czynienia ze zjawiskami spadku skupu miska, czym można wytłumaczyć marnotrawstwo tysięcy litrów mleka z powodu zamieszania powstałego na skutek nietolerancyjnego odbioru do zakładu? Czym można uprzedliwie zebrzenie nawozów szkodliwych (w takim np. Borszechowie aż 150 ton). Kontrola społeczna nie zastępuje ani nie wyręcza kontrol Institutekonalnej, w tym także kontrol wewnętrznej, której działalność faktycznie w zakładach pracy nie jest widoczna.

Teraz kilka słów na temat szkolnictwa i wychowania. Z dużym zainteresowaniem wysłuchaliśmy wystąpienia **izabeli Sierakowskiej**, przewodniczącej zarządu oddziału ZNP w Lublinie.

„W rozdziale drugim Statutu partii — powiedziała ona — czytamy, że członek partii ma obowiązek aktywnie przyczynić się do urzeczywistnienia polityki partii i dalej — wychowywać swe dzieci w duchu patriotyzmu zgodnie z zasadami moralności socjalistycznej. W kontekście tego zapisu należałoby odpowiedzieć na pytanie: ile członków partii wyróżniliśmy za dobre wychowanie dzieci, za pomoc szkole, a ile ukaraliśmy za to, że wychowali swe dzieci na chuliganów, narkomanów, na ludzi zapamiętanych na Zachód, obojętnych [...] W przypadku takich niepożądanych zalamaliśmy ręce i wskazujemy z łatwością na winowajcę: to szkoła. Czy tak jest naprawdę? Mało kto zdaje sobie sprawę, że jest to tylko jedno wino, wino zbyt małej ofensywności, wino istnienia dwóch twarzy: partyjnej na oficjalne okazje i tej drugiej, niewiele niżej wspólnego z ideowymi i etycznymi pryncypiami naszej partii. [...] A gdyby członkowie partii, wykonując swoje obowiązki statutowe, kontynuowali tradycje komunizmiczne w rodzinie, przekazując w sposób świadomy odpowiedzialny, zaangażowany i poparty własnym działaniem swoje doświadczenia młodszemu pokoleniu — swoim dzieciom?”

Bas! Problem poruszony przez **Izabelę Sierakowską** można ilustrować przykładami, które każdy z nas obserwuje we własnym otoczeniu. Sądzę, że warto będzie do tego tematu wrócić w osobnej publikacji. Dobrze by jednak było, aby również niektórzy aktywiści partyjni którzy potrafia ganić innych, krytycznym okiem spojrzeli na zachowanie własnych polech.

I na zakończenie zostawiłem sobie zrównoważony, ale chwilami ostrzy i gorzki głos **Tadeusza Fity**, redaktora naczelnego „Sztandaru Ludu”. Wskazał on na konieczność podnoszenia na wyższy poziom działalności ideologicznej partii, uaktywnienia jej wszystkich członków, „w tym i tak zwanych aktywistów partyjnych zajmujących kluczowe stanowiska w administracji państwowej czy gospodarczej którzy praktycznie nie uczestniczą w życiu partii tkwiąc pomiędzy wskaźnikami, sprawozdaniami, statystyką”. Mówca podkreślił, że dla środowiska dziennikarskiego sytuacja jaka powstała po 15 września br., rodzi nowe zadania. Trzeba jak najsukuczniej dotrzeć do ludzi, reszecznie nie przekonanych do naszej polityki. Do wahaających się, do tych, którzy chętnieby już być z nami, są zdecydowani, ale obawiając się krytyki ze strony otoczenia, w jakim przebywają, kolegów czy nawet rodziny, nie wiedzą, jak wykonać krok w naszym kierunku. „Nasze publikacje muszą być skierowane właśnie do tych, którzy nie przekonanych, pisane w sposób mady i rozważny nie w charakterze polejanek czy ponaglen, ale zapraszając do wspólnego dialogu dla dobra socjalistycznej ojczyzny. Z drugiej strony konsekwentnie demaskować będziemy wszelkie przejawy działań obojętnych, wykazując ich antysocjalistyczny i antynarodowy charakter”.

Tadeusz Fita podkreślił, że mamy jeszcze sprawy, które powodują, że opinia obywateli o szczerości naszych intencji są poddawane, bądź mogą być poddawane w wątpliwość. Postuluje się przykładem pewnej pracowniczki naukowej, która już 16 lat mieszka w obskurnym pokoju bez wody, łazienki, a co najgorsze, bez ogrzewania. Jeszcze w 1978 r. ówczesny prezydent Lublina, inż. **Leon Zieliński** — dodam już od siebie rozszerzając myśl mówcy, ponieważ uważnie zapoznałem się z dokumentami w tej sprawie — napisał (dokładnie 5 stycznia 1978 r.)

„uprzełmi informuję, że po wnikliwym rozpatrzeniu prośby Obywatelki postanowiłem zakwalifikować ja do zamiany zajmowanego dotychczas lokalu na lokal z lepszym wyposażeniem technicznym. O przydziale konkretnego mieszkania zostanie Obywatelka poinformowana odrębnym pismem przez Wydział Spraw Lokalowych”. Petentka czekała cierpliwie, prezydent ją przewymował, a także, ożezorał, mówił że wie, że panieta. Miłe słowa nie kon-

kretyzowały się jednak mimo użyciu nie miesiąc, ale lat!

W Wydziale Gospodarki Terenowej, Spraw Lokalowych Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie interweniował później w tej sprawie radny **Adam Wierzbicki**. Skutkiem tej interwencji było pismo skierowane 18 sierpnia 1982 r. do prezydenta Zielińskiego (z uwzględnienia wojewody) przez **mar. Janusza Rdestę**, dyrektora wydziału. W piśmie czytamy m.in.: „Wydział prosi o podjęcie niezbędnych decyzji zmierzających do ostatecznego załatwienia przedmiotowej sprawy”. Prezydent odosłał że termin realizacji przydziału przewidziany jest w 1983 r.

inż. Zieliński zmienia posadę, prezydentem zostaje inż. **Włodzisław Popławski**. Wszystko zaczyna się od początku. Interweniuje w dniu 31 października 1982 r. poseł prof. **G. L. Szeidler**. Wiceprezydent mgr **Feliks Dobrzyński** odpisuje posłowi, że „przedmiotowa sprawa pozostaje nadal aktualna i będzie brana pod uwagę przy opracowywaniu listy przydziałów pomieszczeń zastępczych na rok 1986”. Niby jeszcze końca roku nie ma, ale kolejne pismo wiceprezydenta mgr. **Piotra Włocha** broni dość groźnie, stwierdza bowiem, że petentka jest wprawdzie na tegorocznej liście przydziałów, ale sprawa będzie załatwiona z chwilą zabezpieczenia lokali mieszkalnych dla rodzin umieszczonych na listach przydziałów pomieszczeń zastępczych z lat 1982-84. Jak w takim świetle roku, mieć cytowane na wstępie pismo prezydenta Zielińskiego z 3 stycznia 1978 roku?

Tadeusz Fita powiedział: „Mija osiem lat prób wysekrowania powziętej decyzji [...] Z tej trybuny zwracam się do wojewody lubelskiego, Towarzystwo Wilki! Nie pozwólcie schorowanej kobiecie spędzić szesnastej zimy w nieogrzewanym pokoju. Wiem, że poltrafiacie rozwiązywać trudne problemy mieszkaniowe, wierze, że i te sprawy załatwiecie pozytywnie. Kobieta, o której mówię wierzyła władzy partii, stworzonej przez nas instytucjom [...], nie pisała, jak inni, w odosłach do wszystkich możliwych władz centralnych, radia i telewizji, nie posługiwała się anonimami czy donosami. Czy dlatego, że nie była pieniaczem, musi cierpieć? Dodam jeszcze jeden szczegół: urodziła się w 1944 roku w obozie koncentracyjnym w Dachau. W tym obozie hitlerowcy zamordowali jej oca i matkę. Przeżyła cudem...”

Może niektórzy urzędnicy sądzą, że jeśli ktoś się urodził w hitlerowskim obozie koncentracyjnym, to jest należycie uodporniony na wszelkie przeciwności? Nie wiem. Dodam jednak, że w tym nieogrzewanym zima pokoju (grzejnik elektryczny trzeba na noc wyłączyć, aby nie spowodować pożaru) powstała praca doktorska, a teraz powstała habilitacyjna. Nie mam powodu, nie wierzyć, choć ten fragment rozmowy nie został utrwalony na taśmie magnetofonowej, ale przed kilkunastu laty pani doktor miała usłyszeć w kwaterekuniku takie słowa. „Dotąd pani nie zdecydowała, że nie zdecydnie pani dalej...” Myślę, że nowy kierownik wydziału lokalowego mgr. **W. Piatkowski** nie pozwoli, by ktokolwiek i kiedykolwiek podobne słowa w jego wydziale wyrozdzielali.

Obywatel — urzędnik, urzędnik — obywatel... Tak blisko i tak daleko! Ale, ludzie, jest jeszcze sama uczelnia mieszce pracy jest związek zawodowy! I jest powszechna znieczulica. Trzeba dopiero Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR publicznie wystąpienia **Tadeusza Fity** by coś wreszcie w tej sprawie drgnęło?

Z dziennikarskiego obowiązku stwierdzę jeszcze, że na konferencji zabrał głos członek Biura Politycznego sekretarza KC PZPR **Tadeusz Porębski** (fragment jego wystąpienia drukował „Sztandar Ludu”), przyjęto program działania, oraz wybrano również Wojewódzką Komisję Kontrolno-Rewizyjną, na której czele stanął dotychczasowy sekretarz KW do spraw probandów, **Józef Mikoda**. Trochę mi żal, że odchodziło to dobrze, ale się z nim współpracownicy. Należy liczyć, że nowy sekretarz, **Mieczysław Karczmarsz**, zarząd wszystkich młodociano. Urodził się wówczas, kiedy ja już byłem członkiem PZPR i od dwóch lat pracowałem w dziennikarskim biurze. Strach pomyśleć, jak to życie szybko leci!

Sekretarka wydziału propagandy **Janusza Zakrzewskiego**, obliczyła, że to już dziesiąty sekretarz w trakcie tej pracy. Tak to jest: sekretarze przechodzą i odchodzą, sekretarka zostaje!

Ta iartobliwa uwaga kończy.

Marek Adam Jaworski

Przeciętniacy

Ewa Chodkowska

POŁOWA wrzesnia. W mieście przybyło młodych ludzi. Studenci. Trwają jeszcze studenckie wakacje ale na korytarzach i dziedzińcach uczelni tłoczno. Dla nich wakacje były zdecydowanie krótsze, czekają jeszcze obławy albo przełożone z czerwca egzaminy.

— Dlaczego nie zdawaliście w czerwcu?
— Dziwi ich tak postawione pytanie. Stoją w dużej grupie pod ścianą, zaraz rozpocznie się egzamin z filozofii.

— Jak to dlaczego? Gdy jest pięć egzaminów i kupa zaliczeń i przy tym jeszcze upał jak cholera, to można wszystko zdać? — Dwie wymalowane, wyliczone dziewczyny śmieją się z całej tej rozmowy. — A to nie wszystko jedno w czerwcu czy teraz? Co tam, byle tylko pchnąć. Ale nie wiadomo, to trudny egzamin.

Rudawy blondyn z rzadką brodką, uśmiecha się ironicznie:

— Ech, kto by tam marnował wakacje na naukę. I tak się jakoś opchnie. Tu pod salą na dziedzińcu można się sporo nauczyć. Ja zdaję dopiero po południu, jeszcze dużo czasu.

Do grupy zbliża się wielce urodziwa i bardzo zadbana Lena; pochodzi — jak się okazuje — z lekarskiej rodziny. Lena opowiada chwilę o wakacjach w Bulgarii. Potem wyznaje, że nic się jeszcze nie uczyła, dopiero przedwczoraj wróciła z wczasów. Te dwie wymalowane gwałtownie dopytują, czy nie ma przypadkiem czegoś do spieniężenia. Lena, rzecz jasna, ma.

— Jak załatwię ten egzamin, to pogadamy. Teraz muszę się trochę pouczyć. — Wyciąga z torebki wymięty zwój kartek, ale jakoś nie idzie jej nauka. Zagaduje rudawego blondyna z brodą:

— Po cholere mam się uczyć jakiejś filozofii? Mój ojciec nie odróżnia Kanta od Comte'a, ja zresztą także, i jest doskonałym lekarzem. Baby ciągną do niego tabunami.

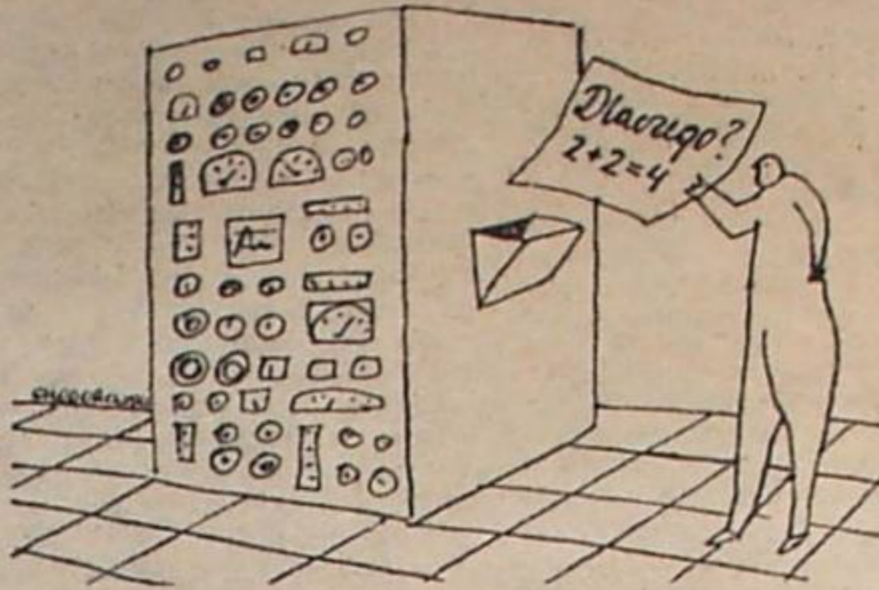
— Co ty tu Lena pie... o jakimś Kancie, pyta tylko z marksistowskiej.

— No, wszystko jedno, marksistowskiej też się nie uczyłam, ale ja mówię, po co mi to w ogóle.

Otwierają się drzwi sali egzaminacyjnej. Wychodzi pierwszy „szczęśliwy”. Wszyscy rzucają się do niego.

— No, co Darek?

— Do przodu! A co myśleliście? Trzy mniej!
— No, dobra, ale co pyta?
Darek z oburzeniem: — On chyba idiota, pytał mnie o ten kierunek, no, co to we Francji po wojnie... o egzystencjalizm. Co za bzdury, wcale o tym nie było na wykładach.



Rys. Antoni Chodorowski

— Było, było w maju, kiedy ty nie chodziłeś — kruchym głosem odzywa się mała, drobna dziewczyna.

Pod salą zjawia się Jola z Marcinem. Witani są życzliwie, oglądani ciekawie ze wszystkich stron. Dziewczyny sprawdzają obrączki, pierścionek zaręczynowy Joli. Pytają jak tam ślub, wesele, jak im się żyje. Zazdroszczą, że już na drugim roku wyszła za mąż. Niektóre dotykają brzucha Joli.

— Jak tam, kopie już?

Marcin opowiada o wszystkim niemrawo. Jola krzywi zmęczoną twarz. Mówi, że źle znosi to wszystko.

— Co, małżeństwo? — dziwią się dziewczyny.

— Nie... ciężko... egzaminy, bo ja wiem...

Marcin martwi się chyba trochę, że mają do zdania jeszcze po dwa egzaminy, w czerwcu nie było czasu zdawać. Myśleli o szybkim ślubie.

OTEMPORA! O mores! Dziś kto żyw zabiera się do wprowadzania reformy gospodarczej.

Zuk i żaba szukają rezerwy i pieniędzy, najczęściej, niestety, w prywatnej, obywatelskiej kieszeni. Ostatnio szuka się metod finansowania oświaty, nie oglądając się już na Ministerstwo Oświaty i Wychowania, które bogactwem nie grzeszy. A że podjęto się zadania metodycznie, reformę zaczęło od przedszkola. Od tego roku składki na Komitet Rodzicielski będą wynosić 800 zł, chyba że rodzice nie zgodzą się na tę kwotę i zaproponują 1000 lub więcej. Rodzice są pewnie świadomi i wiedzą, że ceny są rucho- me jak schody na Dworcu Centralnym w Warszawie i najczęściej prowadzą tylko w górę.

Taką rewelację dało się słyszeć w jednym z lubelskich przedszkoli na zebraniu dla rodziców sześciolatków uczęszczających na zajęcia popołudniowe. Wszystko odbyło się bardzo demokratycznie. Rezolutna pani dyrektor, która do tej pory niejednym artykuł o reformie polknęła, słodko-groźnym głosem, choć najpierw jakby mimochodem, odważnie wymieniła kwotę. Wniosek ten przeszedłby bez echa, bo zebrani, oszołomieni ogólną atmosferą pierwszego zebrania, stale zajmowali się czym innym. A to sprawą picia herbatki przez swoje pociechy w trakcie czterogodzinnych zajęć, a to niemożnością oglądania „dobranocek” w przedszkolu z powodu uszkodzenia telewizora. Wreszcie jednak, dzięki jednej konkretnej mamie, sprawa składki weszła na wokandy już na serio.

— Osiemset czy więcej? — zapytała politycznie i handlowo myśląca pani dyrektor. Gdyby zaczęła najpierw biadolić, potem ustalać stawkę, na pewno nie osiągnęłaby zamierzonego celu. Okazało się bowiem, że poza jednym perfidnym, aspołecznym wyjątkiem wszyscy zgodzili się na 800 zł (1000 zł na razie nie wchodzi w rachubę, pewnie wejdzie w przyszłym roku).

Ten wyjątkowo uparty rodzic starał się obniżyć stawkę do 400 zł. Wtedy

już pani dyrektor wypadła z roli układowej i miłutkiej, choć zdecydowanej na wszystko, właścicielki samofinansującego się przedsiębiorstwa. Gromkim głosem oświadczyła, iż koszty rosną, o czym wszyscy wiedzą, poza nielicznymi wyjątkami, których palcem wskazywać nie będzie. Dziś przyjęcie z okazji Dnia Matki kosztuje bajon- skie sumy, a św. Mikołaj ile kosztu-

wanych środków, które podobno nie wystarczają na nic, a finansowe władze oświatowe nie chcą nawet płacić za takie drobniaki jak dorobienie zagubionych do drzwi wejściowych kluczy, w związku z czym dzieci i personel nie mogli dostać się do przedszkola. Sytuację uratował Komitet Rodzicielski, asygnując kilkaset złotych w tak krytycznym momencie. No, ale

by sprawę? Tyle jest zespołów ludowych, gdzie się nie ruszyć, dlaczego nie ma ich być w przedszkolu? Być może, że tęczy uniform zachęci najmłodszych obywateli do osiedlania się na wsi. Wsie podobno pustoszeją. Tylko co będzie, gdy przedszkola, mając już stroje, zażądamy rasowych koni i bryczek, a także stajni i powozowni?

Ale dość żartów. Przejdźmy do naszych baranów. Zastanówmy się, czy stać nas na finansowanie w obecnych czasach tak drogich pomysłów? Czy stosowanie do okoliczności nie powin- niśmy raczej spuścić z tonu i przezna- czać pieniądze na bardziej konkretne cele, nie zubożać i tak w wielu wypadkach niewielkich budżetów rodzin- nych?

W przedstawionym przeze mnie przedszkolu rodzice zostawiają te 800 zł, poza jednym wyjątkiem, bez słowa, z różnych względów. Jedni — bo wstyd im klócić się o pieniądze, inni dla świętego spokoju, jeszcze inni — bo popadli w apatię i wszystko im jedno. Jednakże zdrowy rozsądek i znajomość realiów mówią, iż wyprawie- nie dziecka do przedszkola lub nawet do młodszych klas szkoły podstawowej pociąga za sobą kilkutyśięczne wydatki. Czy większość z nas stać więc na ekstrawagancję?

W sytuacji, w której się znajdujemy, zacznijmy myśleć pozytywistycznie. Ustalmy hierarchię wartości. Bardziej dbajmy o należyte wychowanie dzieci, co przecież nie kosztuje, a fajer- werki zostawmy na lepsze czasy. Tę naukę trzeba zacząć właśnie w insty- tucjach oświatowych, które jak dotąd nie bardzo wiedzą, na jakim świecie ży- ją. Wystarczy, że ktoś krzyknie: „Daj- my jak najwięcej. Wszystko kosztuje!”, a już zbiera się setki złotych, nie licząc się z biedniejszymi, którzy nie mają, ale pożyczają i dadzą, bo inaczej nie wypada.

Dziś placówka oświatowa jest kosztownym zakładem. Spójrzmy, ile pie- niędzy pochłaniają zabawy organizo- wane z okazji ukończenia choćby tyl- ki szkoły podstawowej, nie mówiąc już o balach maturalnych. Jest to niedobry, niewłaściwy zwyczaj, który prze- nosi się z pokolenia na pokolenie, i na pewno nie nauczy dzieci skrzętności, raczej chyba żyłowania rodziców, bo jakże wystąpić ze skromnością i rea- lizmem przed zaskoczoną odmienną resztą.

„TANIE”

PRZEDSZKOLE

Halina Olczak

jel (Swoją drogą św. Mikołaj pewnie spaliłby się ze wstydu. A ile kosztu- ją zabawki, kredki, pędzelki do malowania akwarelą (podobno nasi mił- sześcy to już zawodowcy i muszą ma- lować pędzelkami po 160 zł sztuka). Kiedy uparty rodzic próbował riposto- wać, że przecież oświata jest jeszcze państwowa i nikt jej w asendzie nie od- dał, dlaczego więc ma kosztować, albo przynajmniej nie tak drogo, broniona swego jak lwica pani dyrektor pod- dała w wątpliwość wartość przyzna-

nięci nie jest z kamienia, pani dyrek- tor też nie, więc proponuje uparciu- chowi, by nie płacił, jak go nie stać, ale w zamian niech pomaluje okna w placówce i uprzątnie podwórko. Może zacząć zaraz albo później, jak woli.

Pani dyrektor ma i inne wydatki. Musi przecież skompletować stroje lu- dowe. Mają podobno wszystko, bra- kuje jej tylko kapeluszy. Mogłaby je zakupić na rynku, lecz nie chce tan- dety. Może więc ktoś z rodziców ma- jący dobre układy w Cepeli, załatwi-

Wiesław Horabik

SWIAT się zmienia, choć jednocześnie pozostaje wciąż taki sam — mówi pan Henryk. — Życie ludzkie przemija szybko i dlatego, kto żyje tylko raz, ten traci wiele. Chciałem coś w sobie znaleźć, żeby żyć pełni. Czy u pana w rodzinie ktoś gra? Muzykowanie to coś więcej niż przeciętność.

W starej szopie, na skraju ogródków działkowych Kalinowszczyzny pan Henryk czyści perkusję; duże i małe bębny, poziomiczne cymbały, a nawet gumową gałkę wprawianą w ruch nacisnięciem stopy. Towarzyszy tym zabiegom pobrządkowanie metalu i dudnienie rozpiętej na blaszanych kołach skóry. Przez wąskie szczeliny między deskami przebija się do wnętrza wrzesniowe słońce. Patrzę na to blade światło odbite w kawalku porzuconego na klepsku szkia. Jest piątek. Pan Henryk szykuje się na sobotni bal.

— Ludzie lubią się bawić — mówi.

— Wszędzie. To tkwi w człowieku jak pociąg do pracy. I to się nie zmieniło. W moich wędrowkach spotykam różnych: prostych i tych z wyższych sfer. Bywają piękne wesela, piękne zabawy, a kiedy zdarzy się bójka, wtedy gra się najgłośniej. Bo my jesteśmy zawodowcami. Tak, nasza gra to nie filharmonia, to profesjonalizm. I biznes: umowa, cena, zarobek. Dawniej wędrowała po zabawach harmoniszka i obębenek obity baranią skórą, dzisiaj byle instrument kosztuje tyle, co nie bardzo używany „maluch”. Obowiązują rzetelność i umiar w alkoholu. Przed laty przychodziła grupa w toboznych ubraniach, spili się, a saksofon leżał w salacie. Dzisiaj wszystko wygląda inaczej, choć tak naprawdę to ludzie nie zmienili się wiele.

Pan Henryk odkłada szmatkę na niski stół w rogu szopy. Z kieszeni fartucha wyjmując dwa wymięte papierosy. Zaciągamy się siwym dymem; pan Henryk pokasłuje. Nie potrafię określić, ile ma lat.

— Zaczęło się od wojska — mówi — a właściwie jeszcze wcześniej. Spiewałem i grywałem w rodzinie. Wie pan, chrzciny, choinka, czyjeś imieniny. Każdy panu powie, że mam piękny głos. Nieraz różni przychodzili do mnie i mówią: „Wujku, wujek coś zaśpiewa, bo nam smutno”. Ale grupe założyłem w wojsku. Tam było dużo czasu. Żołnierze zapraszali dziewczyny z internatów, a my im graliśmy. Zwyczajnie. Coraz więcej było tych zapaw i wtedy pomyślałem sobie, że mógłbym grać na poważnie. Po wyjściu do cywila zacząłem więc organizować instrumenty. Miałem cichą państwową posadkę, a wieczorami biegałem za muzyką. A potem zebrałem zespół: trzech mężczyzn i dziewczyna. Ja sam nie wybierałem do nas tej kobiety. Po prostu tak wyszło. Jej mąż jeździł z nami jako kierowca, a w weekendy babka zajmowała się ich dzieckiem. Ale z dziewczyną to była dobra sprawa. Od razu mieliśmy więcej amatorów na to nasze granie. Szybko zaczęły nam rosnać dochody. Z początku grało się dla przyjemności, ale kiedy grupa dojrzała, zaczęliśmy grać i dla pieniędzy. Jest dużo zespołów i dużo możliwości grania. Odczuwa się teraz rozwój takiej „chamskiej” kultury, ale to ciężka praca. Czasami trzeba grać i po czternaście godzin. Choć gra się różnie; lekko gra się w mieście wśród ludzi obytych z rozrywką, z dansingiem; na wiosce zabiję deskami gra się trudniej; na zabawach znowu gra się systemem knajpiarnym: trzy, cztery kawkali i dłuższa przerwa; za to wesela potrafią człowieka naprawdę zmęczyć. Gdzie ja już nie grałem. Nawet pod Wrocławiem. Bo to reakcja lańcuchowa; od imprezy do imprezy. Ludzie słuchają i obserwują, a potem przychodzą. I już jest następna chałtura. My to nazywamy „kolorowe jarmarki”. Jeśli gra się dobrze, jest obfity poczęstunek.

Pan Henryk wyrzuca niedopałek na podłogę z twardo ubitej ziemi.

— Chodźmy na dwór — mówi. — Tylko perkusję trzymam tutaj.

Siadamy na wąskiej ławce nie opodal. Kobiety, wypięte zadkami w słońcu, krzątają się przy warzywach. Pan Henryk ukazuje w ziewnięciu dwa piękne, złote zęby.

— Niech pan popatrzy — zauważa. — Znam tę dzielnicę od dziecka, tu się chowałem, ale z tymi nowymi blokami wyciekła z niej prawdziwe życie. Wszystko się zmienia, choć niby pozostaje takie samo. A z granieniem to bywa i tak; przyjeżdżamy na wioskę, rzytuujemy instrumenty, wesele jak się patrzy, bogate. Za stolami ze dziesięć osób, w domu wynajęci kucharze. Panna młoda miejscowa, ładna, choć już z małą córeczką. Wdowa. Czeka ją tylko na pana młodego spod Warszawy. Czeka ją godzinę, dwie. Jeszcze się nie niepokoją, bo ma daleką drogę. Dopiero, gdy czas już do kościoła, druźba i jeszcze ktoś wskakuje w samochód i pedną po niego. Nie przyjechał. Jego matka powiedziała im, że się rozmyślił. „Syn nie będzie się żenił — powiedziała. — Po co mu wdowa”. Jezu, co tam się działo! To było pod Poniatową, choć nie powiem panu gdzie. A dziewczyna wyprowadziła się z wioski. Nie piłem jeszcze nigdy takiej gorzkiej wódki. Zamienili wesele na czyjeś imieniny, ale radości już nie było. Dziw, że ona nie umarła.

cam, na budowie kolejnego bloku turkotce zapóźniony traktor.

— Tylko zwyczajnie się zmieniają — ciągnie pan Henryk. — Dzisiaj wieś jest inna miastowa. Takiego wesela jak u Boryny już pan nie spotka. Wymieszano się to wszystko i gdzieś przepadło. Dzisiaj jest w ludziach mało sentymentu. Tylko pośpiechu jest w nich dużo. Wszędzie wszystko musi być takie samo; i szybko. Tak to teraz wygląda: kiedy przyjeżdżamy do wioski, zachodzimy najpierw do weselnego domu. Musimy się rozejrzeć, zobaczyć, gdzie będzie grano: w remizie, w klubie, w stodole, na dworze. Zawsze ustawiają nam jakąś platformę, scenę, ustrojoną brzoškami. Kiedy młodzi zbierają się do wyjścia, gramy jakieś trzy, cztery kawkali. Potem panna młoda żegna się z rodzicami, chrześnymi, dziadkami. Gra się „Serdeczna Matko”. Młoda całuje się ze wszystkimi, a kobiety płaczą. Na progu gra się często „Błogosławieństwo”, a potem marsza bez przerwy, aż do odjazdu samochodów. Dopiero, kiedy zrobi się pusto, szykujemy się do grania na dobre. Rozkładamy instrumenty na scenie: saksofon, akordeon, bębenek. Stroimy się pod ilość osób. Im więcej harmider, tym głośniej trzeba grać. Kiedy weselnicy wracają, gramy znowu marsza, aż siadają za stolami. Cza-

starościna wpina jej we włosy kwiatki. To wszystko. Teraz już nie ma takich weseli jak u Boryny. Chyba, że na filmie. Wieś jest dzisiaj miastowa. Tamten świat już nie wróci, chociaż ludzie nie zmienili się zbyt wiele. Czy to dobrze?

Pan Henryk milczy teraz, jakby zamysłił się nad dawnymi sprawami. Od wąskiej, smrodliwej rzeczki wieje na nas pagłym chłodem. Słońce chowa się pospiesznie za horyzont, a kobiety prostują plecy i zbierają się do odejścia.

— Muzyka jest różna — pan Henryk przerywa znowu milczenie. — Inna dla różnych ludzi. Tak jak nie ma dwóch identycznych płatków śniegu, nie ma takiej samej muzyki. Muzyka jest jak pogoda, jest dla ludzi. Muzyka nie jest dla krytyków. My gramy dla młodych i dla starych. Potrafimy grać wszystko: tango, beat, oberek, polkę, walca, rock-and-rolła. To jest chałtura, ale i muzyka dla ludzi. W Polsce nie kupi pan książki, ani nut z piosenkami. Wszystkiego trzeba się uczyć samemu. Do muzyki trzeba mieć żyłkę. I trzeba czuć, jaka jest piękna. A bywają przy niej i wesole sprawy, jak choćby ta, kiedy przewróciła się w błoto przycepa z gośćmi. Bo muzyka jest jak życie: trochę wesola, trochę smutna.

Ożywiło go wspomnienie i znowu gestykuluje żywo obok mnie.

— To było jesienią, gdzieś w drodze na Żółkiewkę — mówi. — Nie pamiętam już nazwy tej wioski. Od wielu dni śnił drobny deszcz i wiedziałem, że nie dojedziemy na miejsce. Mówiłem gospodarzowi, żeby przeniósł wesele do Krasnogostawu, ale on się uparł. Wyjechaliśmy ciężarówką, na której siedzieli sporo goście i jechały nasze instrumenty, i stara, rozklekotana warszawa. Gdzieś na pięć kilometrów przed wioską przewróciła się ciężarówka, a zaraz potem zakopała się warszawa. Kiedy przyszlismy do weselnego domu, miejscowi goście już spali, gdzie kto mógł, a na stole wałają się resztki jedzenia i blyszcząły kaluże wódki. Trzy dni przesiedzieliśmy w tej norze. Wtedy wcale nie było nam do śmiechu, ale kiedy teraz przypominamy sobie tamtych odświętnych ludzi w lepkiem jak glina błocie, jeszcze odzywa się w nas śmiech. Do muzyki trzeba mieć żyłkę, ale i duszę Cygana. Ile ja się żyłcia dzięki niej napatrzyłem. I nie trzeba się bać. Ja nie boję się ludzi. Tylko grania mogą się bać. Raz grałem na zabawie sylwestrowej dla pięciuset osób; cztery piętra ludzi, wszystko radiofonizowane, na scenie mikrofony, światła, wznacznacze. Wtedy się bałem, że nie dam rady; że to nasze granie nie będzie dla nich dobre. Tylko takich rzeczy się boję, bo człowiek musi się czegoś bać, jeśli nie boi się już ludzi.

Patrzymy teraz na rozciągniętą na noryzonicie smużkę lasu, którą zmierzch ubarwił na fiołowo. Pan Henryk nie chce już papierosa. Siedzi na ławce, lekko przygarbiony od wieczornego chłodu, i otula się szczególnie fartuchem. — Zimna już we mnie krew — mówi.

A kiedy podaję mu na pożegnanie rękę, powtarza:

— Tak, życie ludzkie przemija szybko i dlatego, kto żyje tylko raz, ten wiele traci. Pan też powinien czasem mieć swoje granie, nawet gdyby to nie była muzyka.

Jest teraz w jego mównieniu jakby pewien smutek nad szybko upływającym czasem, a może i trochę tęsknoty za tą inną muzyką, która jest dla krytyków i dla ludzi, a której on nie potrafi odtwarzać, choć pewnie ją rozumie.

— Może i ja nauczę się kiedyś, jak żyć wiele razy — mówię więc bardziej do siebie niż do niego.



Rys. Andrzej Bronikowski

Pan Henryk spłuwa z niesmakiem obok ławki.

— W filmie „Ostatnie takie trio” — mówi — było dużo prawdy. — Tak, tak — kiwa głową — z weselami, jak to z kiziami, bywa bardzo różnie. Kiedyś na takim weselu zarzęnił brzytwą chłopaka. Z życiem, proszę pana, nie ma żartów. Kiedy ktoś uderzy człowieka, słyszy pan gruchotanie, jakby łamało się kość. I jest krew. Dużo krwi. Tylko na filmach jej nie ma. Czy ludzie tak bardzo zmienili się od dawnych czasów?

Z nieodległego dworca dobiegają nas zniekształcone przez głośnieć i przesterżenie, urywane słowa. Od stroju miejskiej rzeźni zalałuje smrodem. Teraz ja wyciągam papierosy. Panu Henrykowi nie smakują. Za naszymi ple-

sami bywają dwa przyjęcia na jednym weselu. Ludzie są pamiętliwi, potrafią się nienawidzić przez wiele lat. Jeśli kiedyś poszła między nimi kłątwa, to trwa do dziś. I starzy nie rozmawiają, choć dzieci mogą między siebie wygadać. A z dawnych obyczajów zostały tylko przyśpiewki. Spiewają stare baby, skrzekliwie i z zawołaniem. Kiedy babka zaśpiewa jedną zwrotkę, trzeba jej taką samą zwrotkę odegrać. Kiedy skończy jedną, zaczyna śpiewać drugą. Sprośne te przyśpiewki bywają i złośliwe. Jeśli im ktoś coś warknie, to tak go ośmieszają, że do końca życia może chodzić po wsi ze wstydem. Najwięcej tych przyśpiewek spotyka się pod Milejowem. O północy są „oczepiny”. Panna młoda siada na krześle na środku izby, ludziska śpiewają „Chmielu, chmielu”, a

Matylda Welna

NOC

Pośród barw kształtów i światła
w matni uwodnej przestrzeżeni
odnie wznoszą się marzeń orzędzienie
gdzie śmieje się morze jak kryształ
w tasiacznym rozbite iskrach
ciemną noc mnie dopadła

idzie noc od zarania
cień co nie chce się zaubić
w rzeczach zakręta lubych
jak czerw w wiśni szkarlatnej
do czegoś on przydatnu
zwala się nagle z ferwozem
przymnata czarnym kolorem

nocy nocy w gwiazd bliskach
lekam się idąc ku tobie
niezdolna temu zapobiec
słuchać stukot trzewika
o każdym kwiat się potukam
czepiam się listka każdego

JATAGAN

Zebys serce otworzył najszerzej
zebys na wiosnę lasem się ukwiecił
to którym siołki zatapiają poręby
w przyszłości okalają obrzeża
i zawilcem polana świeci

zebys z miodem brzozowym jak burzyna
podał szczerą gion chleba
słowo serdeczne i proste
nie sklamany urodzaj przyjaźni
to człowiecze spokojny bądź o to
ktoś się znajdzie i czymś się rozdrążni
za twój uśmiech jatagan pod źebro
z satysfakcją ci wsadzi od razu
i zakreśli i szarpnie gdy srebro
dość głęboko w twe serce się wrazi

OTWARTA FURTKA

Odechodzą nie nie mówiąc pieczęć młodości
ziemia którą sławili staje im butem na gardlech
wyrastają sosenki akacje lipa brzezina
od zieleni i psaków gałąź się każda ugina

kwiecąc się rądy i pola kolorują się bąki
firletkami i jaskrem hektarami tymotki
pośród beżmiarowa trawy lustra błękitu legły
i różowiejają siawy gdy świtły wychodzą ze mgły

świat się mnoży i dzieli i wpiększa bez granic
kiedy nam trzeba odejść posłusznyymi krokami
ledwieśmy wychynęli z oceanu przestworzy
już z porotem przed nami ktoś tę furtkę
otworzył

WYBOR

Okrutny to manowiec
wyboje gruda oset
nie wiem kto by bez lęku
tą drogą jak ja postędił

przebijam się przez krzaki
przez ostępy i chaszczce
nieraz na mnie tród nocey
wilk rosdalawi siog paszereą

nieraz śmija zasyczy
zawórć bo tu przepadniez
i nieraz mi się wydaje
że koniec zem już na dzie

wtedy w zdumieniu wielkim
znajduję słowo żarkie
i ten rubin mi świeci
w ciemności jak latarka

sama się czasem dziesięć
że to mi się nie nudzi
ale wiem że tą drogą
idę prosto do ludzi

Bursa, Hłasko, Poświatowska, Stachura, Milczewski-Bruno, Wojacek...

Kaskaderzy literatury?

Paweł Berłowski

TYTUL książki brzmi bardzo atrakcyjnie: „Kaskaderzy literatury. O twórczości i legendzie Andrzeja Bursy, Marka Hłaski, Haliny Poświatowskiej, Edwarda Stachury, Ryszarda Milczewskiego-Bruna, Rafała Wojaczka”. Zawartość wydaje się nieco zaskakująca, gdyż nie idzie o zbiór esejów, lecz o wybory twórczości tytułowych pisarzy poprzedzone obszernymi szkicami krytycznymi. Tytuł zaś główny jest wynikiem pośpiechu i braku zastanowienia „Dosłownie w ostatniej chwili, tuż przed oddaniem materiałów do druku” wydawca zdecydował się włączyć do książki rozdział poświęcony Markowi Hłascie, zmieniając poprzedni tytuł („Poezja i legenda”) na nowy.

„Bursa, Wojacek, Stachura, Poświatowska, Milczewski-Bruno. Co wymienieni poeci mają ze sobą wspólnego? Nic”. Pomyśl wydania „Kaskaderów...” zdaje się zaprzeczać temu szczeremu wyznaniu Jana Z. Brudnickiego ze wstępu. On sam zresztą odnalazł w końcu podobieństwo — „procesy kształtowania się ich [wymienionych poetów — P.B.] legendy literackiej”. I w dalszym ciągu, charakteryzując ową legendę, zapomina o różnicach, pragnąc przedstawić w miarę całościowy obraz powstawania i funkcjonowania jej w społeczeństwie, jakby nie była inna w przypadku każdego z prezentowanych pisarzy. Gdyby nie szkice zamieszczone przy każdym z rozdziałów, ktoś nieświadomiony mógłby sobie nagle wyobrazić Poświatowską ze „słynnym chlebakiem” na ramieniu, nieoczekiwanie „wysierzoną” podczas kolejnej wędrowki na peryferiach i przy budce z piwem Uogólnienia w tym szczególnym przypadku (wstęp do twórczości poetów, których nie łączy nic) tłumacząc sobie niezwykłością przedsięwzięcia, jakim jest wspólne wydanie utworów, których autorzy wzbudzą nadal emocje wśród odbiorców. Emocje najczęściej niezdrowe — zgadzam się tu całkowicie z tym, co Ziemowit Feddecki napisał w rozdziale poświęconym Stachurze.

Idea wydania tej książki, mimo wielu mądrych spostrzeżeń w poszczególnych szkicach, jest, jak to się mówi, „szyta grubymi nićmi”. Wydaje się, że potrzeba sensacji rodzi pomysły wydawnicze, których nie potrafią uzasadnić pomysłodawcy. Brudnicki usiłuje racjonalnie wyjaśnić taki, a nie inny wybór. Brakuje mu jednak szczerości, by się przyznać, że w grę wchodzi właśnie niezdrowa atmosfera plotki, istniejąca wokół postaci tytułowych, czyli ostatecznie decydującej względy komercyjne. W swoim wstępie użył dla określenia „literatury pamfletowej”, związanej z prezentowanymi poetami, ładnego wyrażenia — iż jest to „ociosywanie mgły”. „Kaskaderzy literatury” miałoby być swego rodzaju odpowiedzią krytyki na plotkę. Jako całość książka wiąże się jednak w proces podtrzymywania sensacji już choćby przez samo połączenie tych sześciu nazwisk. Z omówieniami twórczości natomiast bywa różnie.

Szkic pióra Stanisława Stanucha do wybranych utworów Bursy nie może zadowolić ani łowców tajemnic, ani autentycznych miłośników tej poezji. Tytuł jest co prawda dość efektowny — „Kaskader uczyć” — ale styl miejscami gazetowy. Stanuch w ten sposób pisze np. o popaździernikowym zainteresowaniu jednostką w literaturze: „Myślę, że przejawiało się to przede wszystkim w beznamiętnym spojrzaniu na warunki, w jakich przyszło żyć człowiekowi w konkretnym okresie, a więc po drugiej wojnie światowej, w atmosferze rosnącego zapomnienia, w niektórych krajach i pewnych kręgach, o jej straszliwych skutkach [podkreślenie — P.B.]”. Autor tego szkicu nie potrafił, co więcej, posługiwać się cytatami. Po fragmentach dwóch wierszy, dokumentujących dramat miłości („Trzynastoletnia”, „Miłość”), pisze:

„Nosterkę nie omijają również tych, którzy w opisie szalonych stanowią jednolitą masę szczerkich zwolenników:”

Do redakcji naszej przysłał depeszę
Następującej treści:
»Merdujemy wszystkich poetów
Od dnia nierzwszego wrzesnia»

Depeszuwiec zbladł jak księżyc
Czy można zamieścić
Czy można zamieścić
Tę opóźnioną depeszę
O tak niejasnej treści?

«Depesza»

Czas jakiś dręczyłem się pytaniem, czy depeszo-wiec należy do jakiejś nieokreślonej „jednolitej masy szczerkich zwolenników” i byłbym sobie połamiał na tym głowę, gdybym w zbawionym natchnieniu nie uznał tego paszusa za dadaistyczny dowcip pana Stanucha. Takich przykładów naginania treści wiersza dla poparcia własnych, często nie-

jasnych, wywodów mógłbym wymienić więcej. Zastanawia mnie też, skąd krytyk czerpie swą wiedzę o nauce Kościła katolickiego, którego charakterystyka przypomina mi obraz cerkwi prawosławnej w Rosji z końca XIX wieku. Aby było śmieszniej, potępienie metafizyki i „kosmopolitycznych teorii znikomości przyszył Stanuch do fragmentu wiersza oskarżającego tych, którzy idą zawsze z prądem, z modą — „Rówieśnikom kameleonom”.

Nie mijają się za to z oczekiwaniami poszukiwaczy niesamowitości eseje Jana Marxa. Tytuły rozdziałów ze szkicu o Poświatowskiej dają pewne wyobrażenie o stylu tego krytyka: „Oswajanie śmierci”, „Na progu wolności negatywnej”, „Ochłiań istnienia”, „Poetka miłości”, „Kochanka życia i śmierci”, „Mijanie w samotności”. Ale dopiero posłowie Marxa do całej książki — „Polscy i obcy poeci przekleci!” — ukazuje w pełni jego erudycję.

Kasa „poetów przekleci!” (przypominam, że nie ich nie łączy prócz atmosfery tajemniczości, podniecającej małowiczki) jest jakże wzięcznym obiektem literaturoznawczego „szekierczarstwa”. Co prawda narzęcza służące do „ociosywania mgły” są znacznie barziej precyzyjne niż w przypadku plotki, ale cel ten same — wywoływanie emocji. Jedyna nauka, jaką można wymieść od Marxa, zawiera się w stwierdzeniu, że zyn i pisali poeci, i że robit te w sposób oryginalny. Niektórzy z nich także umierali w niezwykłych okolicznościach, i nie więcej, do jak słusznie zauważył we wstępie Jan Z. Brudnicki, „głupotą dytony ich łączenie w jakas sztuczne kombinowaną procesję”, Markowi udało się to. Odrożony przez ten drugi korowód zamyka Franciszek Villon, z którym do spólki wzywa autor postawia: „ach, gdzie są niegdyś poeci przekleci, co noce spędzali w zamkach, a dnie w karczmach. Nie ma ich. Znikli, jak znikły zamtuzy i karczmy”. Ale proszę się nie zrażać, a co więcej — nie stracie głowy w gmatwaniu różnorodności kategorii przekleci u poetów...

Bzdurę do rozdziału poświęconego twórczości Hłaski jest najbardziej interesującym tekstem krytycznym tego zioru. Sugestia Stanisława Stabry o komunikującej roli socrealizmu w kształtowaniu pisarstwa autora „Pierwszego kroku w ciemności” wydaje się oryginalna, jakkolwiek uwagi te odnoszą się do utworów powstanych w kraju, krytyk dostrzegł to zjawisko także w twórczości i biografii emigracyjnej Hłaski, eseju Stabry, w odróżnieniu od innych, nie jest wykładem podsumowującym wiedzę o twórcy i jego legendzie, ale głosem w dyskusji uwypuklającym ten jeden aspekt, jakim był „ów tragiczny spłót dzieła Marka Hłaski z modelem literatury lat pięćdziesiątych”.

Bzdura o Ryszardzie Milczewskim-Brunie i Rafał Wojaczku utrzymane są w tonie zgodnym z ideą książki. Zaskakuje natomiast wstęp do wierszy Stanury autorstwa Ziemowita Feddeckiego, atakujący z wielką zaciekłością „wyszkolcenstwo” i „koltuństwo” (wiele innych epitetów), czyniący z poety bohatera wspomnianej już „literatury pamfletowej”, a co gorsza wciągające go do udziału w tej nieuczciwej grze. Feddecki, broniąc poety i poezji, występuje przeciw modzie, przeciw legendom. To veto wobec sensacji, składane w imieniu sztuki, zadziwia w książce wydanej w imię z myśią o „koltuństwie” odbiorcy, którego ekscytują nazwiska i choćby efektownie dobrany tytuł.

Ktos, kto kupi „Kaskaderów” ze względu na prezentowaną w nich twórczość, może się trochę zawieść. Ja odczuwam boleśnie brak „Luizy” w rozdziale poświęconym Bursie, a wybór utworów Marka Hłaski uważam za lekką złośliwość. Jeżeli Stachura na niemal dwóch stronach wyliczył wszystkie słabe strony opowiadania „Osm dzień tygodnia”, to zamieszczenie tego 57-stronicowego utworu w wyborze, liczącym zaledwie osiemdziesiąt stron, tylko, by udowodnić słuszność własnych spostrzeżeń, wydaje mi się pomyłką.

Na zakończenie chcę jednak stwierdzić, że choć sama idea wydania „Kaskaderów...” jest mi obca, kupno tej książki bardzo mnie cieszy. Rozzypala się już, ale to i lepiej — usunę z niej denerwujące mnie dwa szkice, a resztę zaniosę do intrologatora. Może artykuł Ziemowita Feddeckiego także sprawi oddzielnie i będę pokazywał niektórym znajomym, którzy nie są jeszcze nieuleczalnie obłąkami. Wolalibyśmy co prawda posiadać sześć osobnych ale pełniejszych wydań, bo nie lubię, gdy mi krytyk dyktuje, co mogę czytać. Tym bardziej, że podsuwa wybór dostosowany do własnego wstępu.

„Kaskaderzy literatury...” Wydawnictwo ICS Kie, 1981
1981 r., s. 324.

Okolice Października '56

Dokończenie ze str. 1

czami oraz skarpami, umocnionymi wykładziną z białych kamieni, przypominał wręcz filmowa makieta. Na jego frontonie pobliskiwały złowrogo topory, z tyłu wychylały się sylwetka czerwonego donżonu oraz zamkowej kaplicy. Obok kłapał przez całe dni rojny i gwarny, złośliwie, targ (czego tam nie było!), stała wielka hala targowa (później widowiskowa) oraz niepowtarzalna bryła, świeżo „odpacykowanego” na 10-lecie Polski Ludowej, Starego Miasta.

Moja wrodzona ruchliwość, temperament oraz pasja społecznikowska od razu wprowadziły mnie w krąg równie ruchliwych i niespokojnych ludzi. Pierwszymi poznanymi (poza uniwersytelem) byli dziennikarze: redaktor naczelny nowo startującego „Kuriera Lubelskiego”, który znakomicie począł służyć regionowi, Lesław Gnot (znałem go jeszcze z lat czterdziestych, byliśmy instruktorami harcerskimi, on — w Stalowej Woli, ja — w Łańcutcie, ale obaj w jednej chorągwi) oraz Kazimierz Spólnicki, niestrudzony animator niezliczonych poczynań, no i... kawaków, które wyrządzał, komu się dało i gdzie się dało. Nieco później zbliżyłem się do ludzi teatru, do których zawsze żywiłem niezwykły kult: scenografa, a potem dyrektora Teatru im. Osterwy, Jerzego Toroczyska, aktorki Jadwigi Grossman (cudownie recytowała przy świecach wiersze Leśmiana i Czechowicza; muzyka Ryszarda Schreitera), Danuty Nagórnej, Jana Machulskiego i jego żony Haliny (utworzyli później lubelska „Reduta”), Mariana Rulki, wspaniałego Aleksego, Joli Bohdal i zakochanego w niej pewnego reżysera...

No i wreszcie kulturalne ścieżki zaprowadziły mnie do intrygującego Zamku, który właśnie objął w swe władanie Lubelski Dom Kultury (późniejszy WDK). Królowała w nim wspaniała, bliska ludziom i kulturze, pani dyrektor, a raczej po prostu pani Irena (nie przypominam sobie, aby ktośkolwiek ją „dyrektorował”) Szcze-powska. Posiadała ona wręcz magiczny wpływ na ludzi różnego wieku i zawodu, na bładzających i niedowartościowanych. Dziś, po latach, sadzę, że wśród kierowników odżywiających po marazmie i nowo powstających na październikowej fali kulturalnych placówek w kraju, była ona osobą zupełnie niepowtarzalną, oryginalną i pionierską. Działała spontanicznie, żywiołowo i zupełnie nowatorsko. Miała przede wszystkim „absolutny słuch kulturowy”. Cokolwiek w pracy robiła, było przepojone rzeczywistością wysoka kultura osobista, żarliwością, bezinteresownością i skromnością. Kierowanie Lubelskim — a następnie Wojewódzkim — Domem Kultury to nie był jej zawód, to nie był etat czy stanowisko, to było po prostu posłannictwo, i to w najlepszym tego słowa znaczeniu. W jej „domu” było zawsze gwarno i rojno, ale rodzinie.

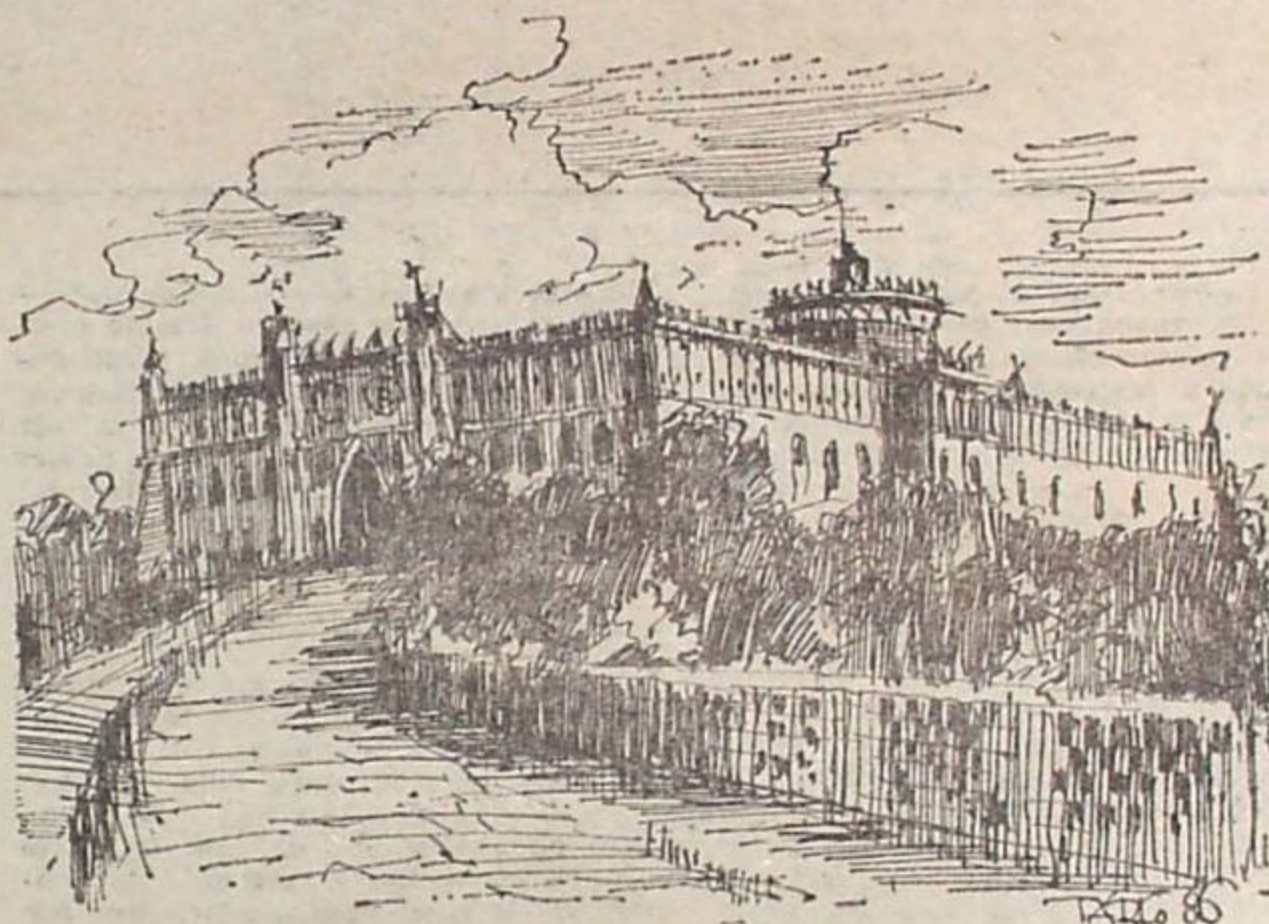
Zupełnie urzeczony zastanym tam klimatem, dałem się bez wahania wpisać do rydwanu pani Ireny, ryzykując oddaleniem na dłuższy czas stopnia doktora nauk humanistycznych oraz osłabieniem życia rodzinnego (wrozumiałość cierpliwiej żony, a w dodatku dziennikarki „Sztandaru Ludu”, i małego dziecięcia też ma swoje granice). Ale stało się. Wszedłem do rady domu, chodziłem na imprezy i dyskusje, organizowałem... Zająłem się głównie (ale nie tylko) upowszechnianiem kultury filmowej. Ten bakcył położyłem już dawno, lecz przede wszystkim podczas studiów w Warszawie, dzięki Krzysztofowi Teodorowi Teoplitowowi, który, wyprzedzając nieco „odwile”, jał na zamkniętych seansach demonstrować arcydzieła filmowe, tkwiące, jak się okazało, od lat w przepastnych magazynach Centralnego Archiwum Filmowego oraz Szkoły Filmowej w Łodzi.

Postanowiłem to wszystko pokazać w Lublinie. Telewizji jeszcze nie było, a kinomani, znudzeni monotonią dotychczasowego repertuaru, wygłodzeni byli do granic wytrzymałości... Krążyły wręcz legendy o wspaniałych filmach i nowych aktorach za granicą. Zabrałem się więc do dzieła. Początkowo utworzyłem Klub Filmowy przy Zrzeszeniu Studentów Polskich, ale wkrótce przyszedł go LDK, nadając

mu dumną nazwę: „Zamek”. Tu dysgresja, wkrótce powstały dwa dalsze „Zamki”. Pierwszy to Grupa Plastyczna „Zamek” która zrzeszyła młodych, gniewnych artystów, tworzyła ją m. in. Przemysław Zwoliński (Sadiej), Tytus Dzieduszycki (zginął później tragicznie w Paryżu) Jan Ziemiński, Władysław Borowski (tworzył wypukłe i pulsujące światłem elektrycznym obrazy), Mirosław Komendecki i inni. Drugi to działający od 1960 r. Klub „Zamek”, coś w rodzaju artystycznej kawiarenki, zawsze pełnej gwara w którym kierownikował — wraz z krytykiem i teoretykiem sztuki Jerzym Ludwińskim — oryginalny noszący się po „beatnikowsku” wciąż poszukujący swego miejsca w życiu, Mirosław Derecki, wówczas także aktor kabaretowy, eks-student weterynarii, początkujący dziennikarz i cudowny gawędziarz...

Tak więc Zamek, zgodnie z zamierzoną tradycją, przejął znowu, przynajmniej w kulturze rolę głównego władnego ośrodka. Wiele się wokół niego, jak na osi, kręciło: literatura, malarstwo, taniec, film, muzyka, kabarety.

Któż to wtedy nie był na Zamku! Trudno wprost wyliczyć. Niezapomniana Maria Bechzyć-Rudnicka, która znała chyba wszystkie tajniki teatru, literatury, tworzący pomosty między starymi a nowymi czasami: ujmujący w swej skromności i szlachetności, rozmiłowany w pięknie polskie-



Rys. Józef Tarłowski

go słowa, poezji słowiańskiej i Tatrach, Kazimierz Andrzej Jaworski; znakomity gawędziarz i recytator, smakosz nad smakosze, przed laty zbuntowany, wyzywający szatana poeta, mecenas Konrad Bielski; przedwojenny redaktor „Expressu Lubelskiego” i Wołyńskiego” i parapsycholog, Wacław Gralewski; Anna Jakubiszyn-Tatarkiewicz, która usiłowała bez powodzenia utworzyć w Lublinie z prawdziwego zdarzenia prywatny salon literacki i wciąż biadała, że tu brak prawdziwych indywidualności; młody, gniewny (wspominany już) znawca sztuk plastycznych (był „marszandem” grupy „Zamek”), Jerzy Ludwiński; zabłąkany w swej osobowości Sted-Stachura; zupełnie oszołomiony poezją Gałczyńskiego, Zygmunt Mikulski; początkujący literaci: Zbigniew Stepek (zginął później tragicznie podczas wyprawy w Himalajach); potrzaskany wojną, były partyzant z Puszczy Solskiej, Zbigniew Jakubik; Podtasiak Janusz, Danielak (przeszedł do radia); startujący ostro poeta Andrzej Tchórczewski (przeniósł się do Warszawy); wyrafinowani radiowcy: Danuta Bieniaszkiewicz, Krystyna Kotowicz, no i ich szef, Tadeusz Chabros...

Ale wróćmy do Klubu Filmowego. Pani Irena przysparzała nam ochoczo i wspaniałomyślnie. Otrzymaliśmy na swoją siedzibę okazal pokój (były tam pisma, książki, potem kamery filmowe) oraz małą salkę projekcyjną. Wokół zarządu klubu zatoczyło się od indywidualności. Wspaniałymi nabytkami okazali się: syn przedwojennego dyrektora kina „Corso” na pl. Litewskim, obiedny encyklopedysta filmowy, Ryszard Schreiter; uczulona na

dobłą muzykę, pani Irena Belfour-Piechotowa, student prawa Władysław Rusinek; psychiatra Majczak, znowu artysty malarza Łukawska, pracownik KUL-u, Alek Chruszczewski; państwo doktorostwo Eliza i Henryk Florakiewiczowie, no i wreszcie artyści plastycy Barbara i Lucjan Wengorkowie.

Lucjan Wengorek, jak się okazało, miał predyspozycję do obsługiwanego filmowej kamery. Zakupiliśmy więc z zysków klubu (tak! kamery filmowe i obydłaj żywo przystąpiliśmy do nakręcania „lubelskiej suity” Rzecz działa się w nowo utworzonej w głębokich podziemiach na Starym Mieście trzy kondygnacje w głąb) kawiarni artystycznej „Płynica”. Tworzywo i aktorów dali: działający tu kabaret „Sex”, którego twórcami, tekściszczkami i aktorami byli m. in. Iwo Wojciechowski, Ewa Jaroszyńska, Mirosław Derecki, Majka Zamojska, Tytus Dzieduszycki, Olek Gabrusiewicz, Zbigniew Domarańczyk, no i bywalcy „Płynicy”. Pełno było bowiem „młodych brodatych” oraz pięknych dziewcząt. Później ktoś użył kamerę i nakręcił do muzyki Bacha piękny obraz: „Szumy na Tanwili”. Projektowaliśmy wydawanie lubelskiej kroniki filmowej, wydawaliśmy biuletyn.

Pomnę, jakimi drogami zdobywaliśmy w Łodzi i w Warszawie archiwalne filmy. Wystarczy powiedzieć że kiedyś, zupełnie nieoczekiwanie, z dalekiej Szwajcarii procesem sądowym zagroził nam... Chaplin! Okazało się,

ze dotarła do niego wiadomość o wyświetlaniu w Lublinie, bez należnych mu tantiem, jego filmów. Sprawa uległa jakoś załagodzeniu.

Pamiętam doskonale premierową projekcję filmu w klubie. Sensacja, dzięki L. Gnotowi, obleciała miasto. Na sali kina „Staromiejskiego” zebrał się szczęśliwiec, którym udało się zdobyć karnety... Młodzi, koneserzy, luminarze. Nastrój podniosły, publiczność wyborowa. Na wysokim diapazynie zagaiłem rzeczą, dając absolutną apologetykę filmowej sztuki jako najważniejszej ze wszystkich (!) i poszedł film o Gershwinię „Błękitna rapsodia”. A później dyskusja, jeszcze nieśmiała, ale już... Drugi wieczór, równie uroczysty: „Pancernik Poliomykin” Eisensteina. Już nieco czytany w literaturze, aż nazbyt swobodnie usiłowałem tłumaczyć tajniki eisensteinowskiego montażu. Padły fachowe terminy o dramaturgii dzieła filmowego, o syntezie dźwięku i obrazu, o sekwencjach, kadrze amerykańskim, specyfice gry aktorskiej, szkołach filmowych itp. itd. W „Sztandarze Ludu” i „Kurierze Lubelskim” zaczęły ukazywać się filmowe recenzje, które w większości sam pisywałem, opatrując je różnymi pseudonimami i literkami, bo nie chciałem urazić dostojnych kolegów z uniwersytetu, którzy uważali, że paranie się krytyką filmową uchybia godności pracownika naukowego...

Później projekcje przeniesiliśmy do Domu Oficera, poszły cudowne filmy Chaplina, René Claira, Pudowkina, Griffitha, Dowżenki, Wellesa („Obywatel Kane”), De Siki, Rosselliniego... Zainteresowanie klubem i jego projekcjami rosło, należenie do klubu

stało się (automatycznie) pewnego rodzaju honorarną liczbą miejsc na sali, czyli ograniczona więc zawieszony pewnego razu po prostu sforsowali drzwi sali Domu Oficera i polamali krzesła... Zapłaciliśmy!

Ale wciąż było nam za mało. Pod patronatem pani Ireny oraz Lali (Krystyny) Księżkiej (była w dziejach WDK chyba najlepszą instruktorką; po latach nadzarpnąwszy nerwy gorączkową pracą popęła w Poznaniu samobójstwo) w małej sali Zamku odbywały się wieczory filmowych zwierzeń”. Wykwintne małe zaproszenia na te wieczory wyluskiwały z lubelskiego środowiska kulturalnego zupełnie elitę.

Bywali na nich dostojni rektorzy, profesorowie intelektualści, wybijający się studenci. Wszyscy byli przede mną, zawsze u progu, uroczyście witani i osadzani... na niewygodnych krzesłach. Słży przede wszystkim przejmując piękne filmy Flahery’ego. Zupelnie oniemieli patrzącymy na fenomeny świata które, a tego wówczas jeszcze nikt nie był w stanie przeczuć, wkrótce już miały zaginać (niszczące skutki pochodu cywilizacji). Po projekcji toczyła się żarliwa dyskusja o własnych doznaniach filmowych o miejscu filmu w kulturze człowieka współczesnego (niektórzy to negowali), o życiu... Niezawodny Ryszard Schreiter czasami siadał do pianina i grał wesole z amerykańskich rewii filmowych, utwory i opowiadał jakie to, ho, ho! filmy oglądał przed wojną.

O Lubelskim Klubie Filmowym „Zamek” stało się głośno w kraju (m. in. dzięki pismu Film”). Klub zresztą „pączkował” i zwracał na siebie uwagę coraz nowymi pomysłami. Z jego to inicjatywy powstał, chyba pierwszy w kraju, Robotniczy Klub Filmowy (przy FSC), a osobny klub powołano przy Domu Oficera. Wszyscy członkowie klubu obowiązyani byli zapisywać się do wybranych sekcji: historii filmu, krytyki filmowej lub warsztatowej i brać aktywny w nich udział.

Korzystając z krajowej renomy, wyściliśmy z projektem powołania Ogólnokrajowej Federacji Klubów Filmowych i... do tego doprowadziliśmy. W zarządzie tej federacji lubelskie kluby miały mocną obsadę. Dalo nam to w efekcie większy dopływ archiwalnych i studyjnych (ograniczonych w dystrybucji) filmów, a także cenną wymianę doświadczeń oraz liczne wizyty. Klub zaczęli odwiedzać krytycy filmowi (np. Jackiewicz, Bukowiecki), a także Andrzej Wajda i Grigorij Czuchraj (miałem im jako historyk pomagać w realizacji filmu o polsko-radzieckiej partyzancie, odbyliśmy razem rekonesans na Zamojszczyznę), wybitny aktor radziecki Smoktunowski, a nie dojechał, nie mniej już wtedy sławny, reżyser radziecki Andrzej Tarkowski, któremu klub przyznał specjalną, honorową nagrodę za jego do głębi przejmujący film „Dziecko wojny”.

W Domu Kultury na Zamku było zawsze rojno, ale wszyscy żyli jakby w wielkiej rodzinie, a raczej gromadzie. Działania się przenikały i nikt w zasadzie nie był monoprofesjonalny. A działał się tam wiele. Lala Księżka niestrudzenie organizowała spotkania z ówczesnymi demurgami literatury (pamiętam całonocny, bo zakończony w mieszkaniu Księżkich, ostry spór z Pawłem Jasienicą o sposoby patrzenia na ojczyzną historię); Danuta Spólnicka przenosiła na lubelski grunt krakowskie doświadczenia profesora Wieczystego w krzewieniu kultury tańca towarzyskiego (lubelski zespół osiągnął wkrótce krajową pozycję); Irena Piechotowa subtelnie kształciła piosenkarzy (to trwa do dziś); pojawił się zupełnie samodzielny talent piosenkarzki Piotra Szczepanika; pięknie i ambitnie śpiewała Joanna Rawik; muzykę symboliczną usiłował zbliżyć bywalcom domu znakomity dyrektor Filharmonii, Cwojdzinski; ruszyła szklanka baletowa...

Czas jednak mijal, a z nim popadziernikowa euforia, pojawiła się telewizja, na ekranach kin wyświetlano obrazy z całego świata, WDK przeniósł się na Podgrodzie, panią Irenę skrzywdzono, a ja zająłem się doktoratem, Towarzystwem Przyjaźni Polsko-Chińskiej, towarzystwami regionalnymi, ruchem partyzanckim, odczytami na tematy historyczne...

Coś jednak w pracy LDK z tamtych czasów pozostało... Pateczkę przejęła nowa zmiana. Jeszcze jednak przez lata wiele osób z tamtych czasów towarzyszyło WDK na nowym etapie LDK-owskich dzieł.

Wymiana pokoleniowa jest nieunikniona, ale tak właśnie tworzy się nowe wartości.

Zygmunt Mańkowski

Och, zycie!

— 2 —

Jańczyłam jedno lato Krystyna Dubik

MOJE zdumienie nie miało granic, gdy się dowiedziałam, że Staszek jest tylko o trzy lata ode mnie starszy, a przecież wyglądał mniej więcej na trzydziestkę. Ten jego wyraźny zadatek na łysinę i ten wąsik jak u Hitlera, który zresztą szybko zgolili Robil, co mógł, żeby się tylko przypodobać. „Jeszcze ci niejedna z koleżanek takiego męża pozazdrości!” — zaczynała swoją śpiewkę mama. „Ależ on się wcale nie zamierza żenić — oświadczył mi moja zdumiona matka. — Ani ja nie chcę jeszcze wychodzić za mąż. To już nie te czasy, że ze starych panien się wyśmiewają, mateczko...”. — „Ożeni się, ożeni, wspomnisz jeszcze moje słowa” — zapewniała.

Już nie uciekałam od Staszka, chociaż wciąż go jeszcze nie traktowałam serio. Być może, niejedna 20-letnia dziewczyna ma podobne, zwariowane nieraz pomysły, takie jak ja wówczas miałam.

Z mamą nie mogłam znaleźć wspólnego języka. Byłam raczej ulubienicą tatusia, bez którego czułam się wciąż zagubiona i niepewna swojej przyszłości. Dla mnie wzorem życia był ukochany ojciec. Oczywiście, starałam się tego nie okazywać, ale nie dało się też ukryć, że moja mama bardziej kochała syna niż mnie. „Smarkata, a chciałaby już maną rządzić” — wyrwało się jej czasami. Ale to już nieistotne. Ważne, że matka jest, że żyje. Tak niewiele brakowało i ją bym utraciła.

Uzgodniłam z mamą, że skorzystam z zaproszenia mojej kuzynki, Danieli z Opola, i ciotki Feli z Łodzi. Postanowiłam wyrwać się z Włocławka. Staszek coraz częściej wspominał o małżeństwie. „Twoja mama to jeszcze młoda kobieta” — mawiał. Nie wiem, co chciał przez to powiedzieć. Dla mamy już nie chciałam być ciężarem, ale nie w małżeństwie szukałam wyjścia z trudnej sytuacji. Rodzina taty, zarówno ciotka Fela, jak i kuzynka z Opola, wydawały mi się tak dobre i serdeczne, iż u nich postanowiłam poszukać jakiegoś duchowego wsparcia, otworzyć przed nimi swoje serce, przynajmniej się, że nie umiem jeszcze żyć, że się panicznie boję małżeństwa, że raczej interesuje mnie praca i ewentualnie jakieś dalsze doksztalcenie się. Co one na to? Czy wskażą mi jakąś drogę życia? Czy coś doradzą, odpowiedzą? Może nawet u nich pozostanę? Ież to nabudowałam sobie przysłówiowych „zamków na lodzie”. Sama dziś już dobrze nie wiem, co mnie tak wtedy w ten nieznan świat gnalo...

Przy mojej zacofanej trochę matce czułam się zupełnie nie tak, jak dawniej. Oczywiście, że przykładnie mnie wychowała, aż do przesady wpajała święte rodzicom posłuszeństwo, grzeczność dla otoczenia („kto w ciebie kamieniem, ty w niego chlebem”). Mając dwadzieścia lat, zaczynałam się jednak buntować. Jakże inne od moich były jej poglądy na życie. Sam fakt, że już by chciała mnie wydać za mąż, oburzał.

Byłam prawie pewna, że gdzieś tam, w Opolu, a może w Łodzi, czeka mnie zupełnie inny, lepszy świat, którego przecież nie znam. Zawsze pościagały mnie duże, tajemnicze miasta. Zarówno rodzina ciotki Feli, jak i Danieli, nikogo podczas wojny nie utraciła. Ze też wcześniej nie przyszło mi do głowy, aby porzucić wreszcie te nieżyjące dla mnie miasteczko, w którym nie umiałam się odnaleźć! Z pewnością bez żalu opuściłam Włocławek, będąc pewna, że na zawsze.

W Opolu byłam najpierw wprost olśniona życiem, jakie wiodła moja kuzynka — Dana. Ostatnio widziałyśmy się jeszcze przed wojną. Obie byłyśmy wtedy podłatkami. Zawsze mnie ona zachwycała. Czułam się przy niej jak „brzydkie kaczątko”. Tym razem również patrzyłam na nią wzruszona i wcale się nie zakłamałam, że właśnie ją wybrałam. Miała nawet portret naturalnej wielkości. Wymykała, zgrabna, o wielkich, brązowych, pełnych dziwnego blasku oczach i kasztanowych, bujnych, aksamitką ujarzmionych, włosach. Taką samą aksamitką miała przybrana strojną sukienkę. „Słyszna jesteś — powiedziała do mnie — tylko cię inaczej oprawimy”. Z przymrużeniem oka patrzyła na moje skomne, dawne już niemodne sukienki. Codziennie chodziłam z nią do krawcowej, fryzjera, manikiurzystki, a wieczorem zabierała mnie na fajfy lub dancingi.

Dana była już mężatką. Jej sympatyczny, grubawy mąż był właścicielem rzeźni, w której zatrudniał swoich trzech młodszych braci i kilku kolegów. Na dole miał sklep z własnymi wyrobami, przed którym już od rana ustawiała się kolejka.

Z dnia na dzień malutka jednak mój zachwył dla Dany, szczególnie, gdy lekko podchmielona, nabijała się ze mnie wyraźnie: „Gdzie to jeszcze takie coś się uchowało?” — mówiła jakby sama do siebie, w głos się zaśmiewając. Albo niby to dyktownie przechylała się w moim kierunku, przyciszonym głosem pytając: „Ty chyba jeszcze nawet smoty stracić nie zdążyłaś, nie przysnąłaś się?”. I znów ten ironiczny śmiech, a potem jakby odprężyć po ciężkim śmiechu i kolejne pytanie: „A może do zakonu zamierzasz wstąpić?... Nie

działabym się, żeby to było jakieś karłowate, krzywocenne brzydkie, ale dziewczyna na schwał i ludz się boi! No, nie gniewaj się — dodała — być może już coś przeżyłaś. Tym bardziej powinnaś dobrze rozmyśleć się między chłopakami i wyjść za mąż” — poradziła.

Natomiast w Łodzi ciotka Fela z wujkiem przywiali mnie bez entuzjazmu, jakby trochę zaskoczeni moim przyjazdem. Wolałam im się nie przyznać do swoich (teraz już wiedziałam na pewno) niedorzecznych marzeń. Stanowił małżeństwo bezdzietne przyzwyczajone do wygod, zwłaszcza na starsze lata. Wujek był prezesem Samopomocy Chłopskiej. Mieszkał na peryferiach Łodzi we własnościowym domku jednorodzinny. Niczego im nie brakowało. Nie umiałam się jednak przebić do ich dość oziębłych serc, chociaż dobrze wiedzieli, że bardzo potrzebowałam czułości bliskich mi niegdyś krewnych...

8 kwietnia 1947 roku w drugi dzień Świąt wielkanocnych odbył się mój ślub z Staszkiem. Wesele nie było. Zabrakło ojca matka wlokła się jeszcze o kulach, więc żeby nie było sensacji, wolała nie iść do kościoła. Tego dnia „wesele dom” jakby posmutniał, bo paona młoda spełniła wprawdzie życzenie matki, ale zupełnie nie była pewna, czy to miłość. Po prostu zaufała Staszкови, uwierzyła, że ją kocha, że prawdziwe są jego słowa: „Już sobie nie wyobrażam życia bez ciebie”, a i mamie zaufała, która twierdziła, iż „lepiej jest być kochaną, niż kochać, zresztą to samo przyjdzie, lubisz go, widzisz, wszystko będzie dobrze, zobaczysz”.

Dzień tylko był bardzo, jak na weselny, nietypowy. Nie grała żadna muzyka, nawet zza ściany u sąsiada. Niezdecydowane słońce przykryły nagłe ciemne deszczowe chmury, które wiatr gonil gdzieś przed siebie... Przed domem czekała taksówka. Zanim przesiadłam tych kilkanaście kroków, wicher zerwał mi welon z głowy, rozwiewając długie, rozplecione włosy. Pan młody dość zrezygnował go pochwycił. „Na litość boską, nie trzeba wracać do domu” — powiedziała przesadna mama, wzywając do ponownego upięcia welonu sąsiadkę. Pan młody też się zniecierpliwił, ale milczał z zacięniętymi ustami.

Ślub był rzymski, bardzo uroczysty. Wnętrze kościoła św. Stanisława, patrona pana młodego, starannie przygotowane. Z mojej rodziny był tylko mój osiemnastoletni brat, ze strony Staszka natomiast: mama, siostrzyzka i jeden z przyjaciół. Ten cichy ślub, wspólny lepszy obiad, tradycyjne zdjęcia i żegnaj wolności!

Jednej z mam tej pierwszej poślubnej mojej nocy przyszło się, że leżałam w trumnie, drugiej, że wpadłam w studnię. „Prześcieńcie już z waszymi snami i przesądami!” — oburzał się Staszek.

Jaki on był? Zewnętrznie prezentował się całkiem dobrze. Średniego wzrostu, śniady, z czarnymi podkreślonymi włosami (nieco przeredzonymi); ubierał się na sportowo, od święta nawet na białe, co mu dodawało uroku. Z natury był raczej wesoły, niekiedy zabawny, szczególnie, gdy śpiewał (zupełnie nie miał sluchu, ach jak fałszował i przekręcał moje ulubione melodie!). Należał do klubu wioślarskiego, gdzie miał swoją żaglówkę, gdzie można też było wypożyczyć różnego rodzaju sprzęt sportowy, łódki i kajaki. Ach jak on umiał wykorzystać lato, każdy niemal pogodny dzień! Szczególnie nie darował niedziel. Zabierał mnie i moją gitarę, mówiąc: „Ież można cierpieć, zagębiać się i płakać! Śpiewaj, graj, ciesz się życiem, dopóki jesteś młoda i kochana” — dodawał, szepcząc mi to „kochana” do ucha.

Tamto lato należało do wyjątkowo pogodnych. Były dni upalne, bez śladu chmurki na niebie. Spędzałyśmy je na wodzie. W bezruchu jak gdyby zastępywały drzewa. Wisła płynęła leniwie. Leciutkie wiaterek śmieśnie marszczył rzekę. Oparta o osmaganą słońcem na brzoźwo pierś Staszka, nieśmiało pobrzdkawałam na mojej starej, wierniej gitarze, czasami śpiewałam, a melodia płynęła po wodzie gdzieś bardzo daleko.

Pamiętałam, jak miał nas parostatek, a ludzie przyglądali się nam przyjaźnie. Czasami Staszek specjalnie podpywał bliżej bulwarów, dumnie wyprzedzony, zrezygnując manewrując wiekami, prosił: „Śpiewaj!” Dopinguował: „Nie każdy tak potrafi!” Ktoś nawet powiedział: „No popatrz tylko, czyż to nie jest raj na ziemi? Sympatyczna para”. „Ale ja nie lubię takich popisów, zrozum” — próbowałam mu przetłumaczyć i nie chciałam zabierać gitary. Wtedy zaczęły się pierwsze dąsy i na razie niewinne zgrzyty. Brał wówczas swoją wędkę i gdy odpiłynęliśmy już dość daleko, godzinami wpatrywał się w spławik, a ja się opalałam, nie sobie z tego nie robiąc.

W podróz poślubną popłynęliśmy przeladowaną żaglówką, zabierając gitarę, wędkę, namiot, menażki... Ja właśnie wtedy zaczęłam pisać pamiętniki!

W klubie wioślarskim darzone nas szacunkiem i sympatią; przemiłym akcentem stało się powitanie w tym klubie zaraz po ślubie. To był wieczór zorganizowany jakby specjalnie dla nas. Nadmienię muszę, że właśnie tutaj, na tarasie miałam ze Staszkiem moją pierwszą randkę, a potem dopiero zaczęły się także z socjalki niewinne, spotkania, piętze spacerów, przejażdżki po Wiśle, potańcówki, wieczorki zabawy... Klub miał swoją wielką salę tańczącą ze sceną dla orkiestry, przyległą salę restauracyjną z bufetem i kuchnią. Orkiestra wyszła na pomost, grając nam na pożegnanie ulubioną wówczas orzeźwiającą melodię: „Życie bajka zaklęta, gdy kochała dziewczęta...” Widocznie nasz rozpostarły, szeroki, łobozący na wietrze żagiel było jeszcze widać z daleka, skoro wciąż dołatywała do nas przytłumiona już, urywana melodia: „Jaka piękna jest moja dziewczyna!”

I tak startując z Włocławka, poprzez Toruń, Grudziądz, Tezew, zatrzymując się na noc i rozbi-

lając namiot na wysypkach Wisły lub na jej wybrzeżach dołatywały aż do Gdańska. Następnie przez cały lipiec koczowaliśmy na jeziorach mazurskich. Byliśmy jakby oderwani od świata, z dala od wszelkich kłopotów i ludzi. Zapatrzeni w siebie, zaurzeczni cudami przyrody, różnorodnością rozciąganych płasków, mnogością białych lilii. Absolutnie nie odczuwaliśmy rozłąki z najbliższymi, wyzyliam się koczowniczymi.

Pewnego razu zboczyliśmy z wodnego traktu, wpływając w wybijając wysokie trzciny, z których nie sposób było się wydostać. Wieczór już mroził, a my mocowaliśmy się wciąż, wioślami sięgając już dna. Utknęliśmy jak statek na mieliźnie, z tym że trzciny całkowicie przysłaniały horyzont. Nie mieliśmy nawet zapalek ani chleba, ale znalazła się jeszcze jedna mięsna puszka. Zjedliśmy jej zawartość bez chleba, podziwiając niezwykły z tego miejsca zachód słońca. Wschodu natomiast nie zdążyliśmy obejrzeć. Zasoaliśmy...

Oboje ze Staszkiem mieliśmy podobne myśli. W skrytości ducha marzyliśmy, że nie wrócimy już więcej do Włocławka, gdzie na niego czekała „otrzebujająca” rodzina; matka — główny zarządca wszystkiego, i jej zastępczyni — córka z dzieckiem w łonie i chorowitym. Nie wiedziałam jeszcze, że ożenił się wbrew ich woli. Zdziwiałam się jednak, gdyśmy się zatrzymali w Gdańsku, gdzie miał trochę znajomości, i udaliśmy się na peryferyje miasta, a nawet do okolicznych wiosek. Nie wszystkie były już zagospodarowane. Widzieliśmy trochę zdemolowane, ale nadalące się do zamieszkania po niewielkim remoncie, domy ponociałeckie z bepańskimi sadami. „Co byś powiedziała na to — zapytał — gdybyśmy się gdzieś tutaj osiedlili? Ty przecież mogłabyś już być nauczycielką, a ja kierownikiem szkoły, popatrz tylko, jak pięknie ta wieś położona”. We wsi Rybski stał okazały budynek szkolny z czerwoną cegłą, u góry z mieszkaniem dla kierownika. Staszek był wyraźnie „napalony”. Nie miałam nic przeciwko temu. Zaczęliśmy układać sobie plany na naszą nową drogę życia. Interesował się nawet ceną kur i prosił: „Na początek kupimy tylko jedną świnkę, poradzisz sobie?” — pytał podniecony swoim pomysłem.

Ufałam mu. Zrobiłam wszystko, żeby tylko było tak, jak planowaliśmy, najdłużej. Miałam już dość sklepu i związków z nim kłopotów — bo muszę dodać, że we Włocławku pracowałam w księgarni, stanowiącej własność Staszka — wciąż podwyższanych podatków i coraz to trudniejszego zaopatrzenia. „Jedziemy tylko zlikwidować sklep i wrócimy tu” — mówił. Domyślałam się, co go trapi: jego kobiety — matka, siostra, siostrzenica — a tu jeszcze jedna sianęła na drodze jego życia! One sobie swego wygodnego życia zburzyły nie dadzą, o nie! To raczej ja będę musiała ustąpić. Na razie wszystkie rozgrywa się ostrożnie, dyplomatycznie, choć nie zawsze... „Miałbyś sumienie zostawić starą matkę i tę biedną, niezaradną siostrę z dzieckiem, przecież dobrze wiesz, że zżeniemy, syneczku, bez ciebie” — lamentowała matka Staszka.

Doszło jeszcze jedno zmartwienie. Byłam w ciąży. Nie śmiałam się przyznać, ale teściowa się domyśliła, gdyż początki ciąży znosiłam bardzo ciężko. Zapach golowanych potraw przyprawił mnie o mdłości. Zmieniłam się na niekorzyść. Straciłam apetyt i równowagę psychiczną, ale gdzieżby mi kiedykolwiek przyszło na myśl, że przez ciążę utracę Staszka? Bo moje szczęście trwało tylko jedno, to jedno, nigdy nie zapomniane lato. Sielan-ka skończyła się wkrótce po powrocie z jezior do domu, gdzie już obie panie domu nie były w stanie ukryć swego oburzenia, że zabrałam im ich najbliższą sercu osobę, jedynego żywiciela rodziny, który chyba do reszty oszalał, skoro chce ich opuścić, a gdy jeszcze oświadczyłam, że spodziewam się dziecka — zawrzasło jak w piekle. Atmosfera stała się nie do zniesienia. Nawet Staszek zaniemógł.

Chodziłam nieraz do księgarni, będąc pewna, że załagodne sytuacje i „nawróce” męża. Absolutnie już nie wątpiałam w to, że on jeden jest mi najbliższy. Przypłatało mi się jeszcze przykre uczucie zazdrości, którego prawie dotąd nie znałam. Szczególnie byłam zazdrośna, gdy wracał późną nocą ze służbowych podróży, a potem godzinami prowadził ze swą matką jakieś poufne rozmowy przyciszonym głosem. O czym oni mogli rozmawiać? Jak długo będą jeszcze na niego czekała? Czy wejdzie — myślałam — do mojego łóżka, czy też położy się na swoim tapczanie?

Z woli jego matki niecodziennie spałyśmy razem. Wprowadzić pokój dostaliśmy ten większy, ale za to przejściowy. Moje łóżko, chociaż wciśnięte trochę w kącie za bibliotekę, zresztą im ten supernowocześnie urządzonej pokój. Oboje byliśmy trochę skrupowani. Mama Staszka potrafiła przeleć przez nasz pokój zupełnie niespodziewanie, niby to do pokoju Anusi (córki); wtedy zwykle mąż chował mnie całkiem pod koldre.

W końcu Staszek, szczególnie, gdy się dowiedział, że jestem w ciąży, oświł w stosunku do mnie zupełnie. Nie rozmawiał ze mną całym tygodniami, a raz wybuchnął niepohamowanym gawem, wołając: „Nie po to wyrwałam cię z tej nędzy, żebyś mnie od razu dziećmi uszczęśliwiła! Mówiłem ci, że to będzie małżeństwo na próbę! Miałem cię za dziewczynę bardziej nowoczesną, twierdziłaś, że masz zacofaną matkę, a ty to co?”. Nie umiałam się bronić. Nawet nie próbowałam. Zrozumiałam, że zostalam oszukana.

Szczęście, szczęście... To tylko złud, to fałomergana, do której człowiek wyciąga ramiona!

(cdn.)

Tajemnice mózgu przestępcy

Dokończenie ze str. 12

stępstwo pozostające w bezpośrednim związku z ich perturbacjami psychicznymi. Ocenia się, że około 5 proc. przestępców dotkniętych jest chorobą umysłową, natomiast spośród pozostałych 95 proc. ponad jedną czwartą wykazuje zakłócenia osobowości, które niewątpliwie sprzyjają czynom patologicznym. Są to psychopaci lub osoby o niezrównoważonej psychice, ludzie marginalni, niestabilizowani, nadmiernie porywczy, recydywiści, alkoholicy i toksykomani. Stanowią oni około 10 proc. populacji więziennej. Trafiają także do placówek psychiatrycznych, traktując je jako miejsce azylu, natomiast ich hospitalizacja nie daje żadnych wyników leczniczych.

Najbardziej niebezpieczni dla otoczenia są niewątpliwie osobnicy cierpiący na różnego rodzaju psychozy (np. manię prześladowczą, megalomanie, maniakielną zazdrość itp.). We Francji około 100 osób rocznie pada ofiarą z ich ręki. Osoby takie dokonują aktów przemocy głównie we własnej rodzinie lub w kręgu najbliższych znajomych. Klasyczne przykłady to schizofrenik zabijający nożem własną matkę, paranoik zabijający swego domniemanego prześladowcę lub rywala, depresyjny melancholik, który popełnia samobójstwo, uśmiercając także żonę i dzieci. Niebezpieczni mogą być także osobnicy z niedorozwojem umysłowym, którzy pod wpływem np. alkoholu mogą gwałcić, zabijać, podpalać. Inna kategoria potencjalnych przestępców to osoby o pewnych określonych zboczeniach seksualnych, zwłaszcza atakujące dzieci. I wreszcie alkohol oraz środki odurzające mogą sprzyjać pojawieniu się zakłóceń umysłowych lub nawet je powodować, co w następstwie może prowadzić do różnego rodzaju przestępstw. Znanych jest obecnie wiele środków chemicznych, które łagodzą objawy psychotyczne, zmniejszając tym samym zagrożenie czynami agresywnymi.

Najnowsze zdobycze neuropsychologii umożliwiają ujawnienie anomalii, świadczących o występowaniu organicznych zakłóceń w pracy mózgu, które mogą leżeć u źródła działań przestępczych. Wiadomo, że rozwój reaktywności uczuciowej lub społecz-

nej, która decyduje o normalnej adaptacji jednostki do otoczenia, uzależniony jest od centralnych struktur nerwowych, stanowiących rozgałęziony system i umieszczonych u podstawy czaszki, bądź też w



Rys. Zbigniew Walszewski

placie skroniowym. Mechanizm neurofizjologiczny i neurochemiczny danego osobnika funkcjonuje w granicach wyznaczonych przez zasoby genetyczne. Każda nieprawidłowość rozwoju owych systemów regulujących i stać się tym samym przyczyną nadwrażliwości mózgowej pochodzenia ustrojowego. Anormalna pobudliwość (często wzmożona jeszcze przez działanie alkoholu czy środków odurzających) wrodzona lub nabyta wskutek choroby bądź urazu może wywoływać kryzysy psychomotoryczne idące w parze z czynami przestępczymi.

W praktyce sądowej biegli psychiatrzy często domagają się wykonania oskarżonemu elektroencefalogramu (zapisu czynności bioelektrycznej mózgu — przyt. red.) po to, aby zbadać ewentualność organicznej przyczyny antyspołecznego zachowania. Przyczyną taką może być jakieś schorzenie czy guz mózgu, epilepsja, rozmięczenie itp. Jak się wydaje, pewne zakłócenia elektroencefalograficzne rzeczywiście występują znacznie częściej u przestępców niż u populacji ogółem. Niekiedy zachodzi potrzeba dodatkowych, bardziej uciążliwych badań, zaś obecnie coraz częściej praktykuje się stosowanie elektronicznej aparatury przeszukująco-wybieirajacej (scanner). Jako przykład może posłużyć przypadek Japończyka Sagawa, który zabił holenderską studentkę i pożarł ciało swej ofiary. Elektroencefalogram zabójcy wykazał zdecydowane odchylenie od normy: charakteryzował się przewagą fal wolnych w prawej półkuli mózgu.

Oczywiście wszystkie wspomniane wyżej biomedyczne czynniki przestępczości same z siebie jej nie tłumaczą, ponieważ człowiek ze swoim systemem nerwowym jest w stałej współzależności od środowiska. Samo zjawisko przestępczości ma niewątpliwie wiele przyczyn. Składa się na nie cały zespół czynników indywidualnych, zbiorowych, biologicznych i kulturowych. Niemniej prawdą jest, że integracja społeczna jednostki wymaga harmonijnego rozwoju jej mózgu i zawartych w nim programów adaptacyjnych. Częste występowanie u zbrodniarzy zakłóceń neuropsychiatrycznych jest zapewne w dużej mierze następstwem organicznych dolegliwości mózgu, powstałych w dzieciństwie. Nie ulega wątpliwości, że wkrótce neurobiologia nauczy nas jak je diagnozować, leczyć, a nade wszystko — jak im zapobiegać. Badania w biologii i medycynie nie tylko służą stwierdzeniu fatalnego zła. Niosą one również nadzieję.

KRONIKA KULTURALNA

Minęło 49 lat od powstania wielce znaczącego dla lubelskiej kultury Robotniczego Teatru „TOR”, działającego przy Domu Kultury Kolejarskiej. W ciągu 49 lat teatr rozwijał stale swoją formułę artystyczną, poczynając od składek, poprzez lekkie komedie, do pełnospektaklowych przedstawień dramatów klasycznych i współczesnych. „TOR” stale służył środowisku kolejarskiemu, ale także szerzej robotniczej społeczności dzielnic, w której działał, rozstrajując teatralne zainteresowania, kształtując kulturalny smak.

Kuch teatralny na wsł jest zjawiskiem coraz częściej dającym o sobie znać, głównie przy okazji regionalnych sejmików wiatralnych i ogólnopolskich w Tarnobrzegu, który już niebawem odbędzie się na wsł trześci. Teatry wlejskie na co dzień słu-za swoim widzom, mieszkańcom wsł ruch-za rozwija się szczególnie w miejscowościach i regionach oddalonych od zawod-nych teatrów np. w województwie zamojskim. Dawidół tego świadome zorganizowa-ły w Werbkowicach na Zamojszczyźnie wa-żwodziła przedział teatrów dramatycznych. Wśród zespołów teatralnych prezentowali-tych przy przeważnie klasycznym Jury naj-wyższej ocenilo przedstawienie „Zabusi” Za-wojskiej, zaprezentowane przez teatr mie-łskowski z Zespołu Szkół Zawodowych w Mielnie.

Kolejna informacja kulturalna z siemi-łubelskiej. W dniach 15-17 września w ramach „Panoramy Kultury NRD” miesz-łubelskiej Zamojska, Krasnobród, Hrubiesz-łubelska i Tomaszów uścił możliwość uczestni-łubelskiej w wielu interesujących imprezach. Dorobek kulturalny NRD prezentowany był na spektaklach i odczytach oraz poprzez recitale i wystawy: plakatu fotograficzne, plastyczne.

W dniach 22-24 września Lubelskie Towarzystwo Naukowe urządziło w Lubli-łubelskiej V Koloquium naukowe na temat „Mie-łubelskiej Wschodem i Zachodem: zjawiska języ-łubelskiej na pograniczu polsko-ruskim”. W-łubelskiej wzięła udział wielu językoznaw-łubelskiej i folklorystów zajmujących się-łubelskiej języka i kultury pogranicza.

Puławski Ośrodek Kultury „Dom Che-łubelskiej” posiadający wyspaniała salo teatralne-łubelskiej z doskonałym wyposażeniem, jakie nie ma-łubelskiej zawodowe teatr, stara się coraz-łubelskiej wykorzystywać to doskonale wa-łubelskiej przedstawienie prezentując przedsta-łubelskiej teatralne i inne widowiska, przywe-łubelskiej tu z większych ośrodków kultural-łubelskiej.

W połowie września gościł w „Domu Che-łubelskiej” Lubelski Teatr Im. Osterwy z przed-łubelskiej „Określ” oraz w ciągu dwóch-łubelskiej Teatr Ewy Demarczyk.

Rozstrzygnięty został ogłoszony przez-łubelskiej Agencję Wydawniczą ogólnop-łubelskiej konkurs na książkowy debiut poety-łubelskiej. Spośród 673 nadesłanych prac jury pod-łubelskiej przewodnictwem Ryszarda Matuszewskiego-łubelskiej przyznało trzy równorzędne nagrody. W in-łubelskiej Stanisławowi Soduśkiemu, z Końskowoli,-łubelskiej członkowi Klubu Literackiego przy Lubel-łubelskiej skim Oddziale ZLP, za zbiór „Prywatna-łubelskiej Odyseja”.

(w)

Czterdzieści lat minęło...

Wspomina Ryszard Dunin sekretarz Wydawnictwa Lubelskiego

— Wiem, że pracuje pan w branży wydawniczej od czterdziestu lat, cały czas w Lublinie. To w 1949 roku wydawało się tutaj książka?

— Nie tyle książka, co gazety. 13 września 1946 roku, mając niespełna dwadzieścia lat, rozpocząłem pracę zawodową w lubelskiej delegaturze Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”, która wydawała początkowo „Gazetę Lubelską”, a następnie od 1947 roku „Życie Lubelskie”.

— Zaczynał pan po amerykańsku, od gońca?

— Nie. Od administratora. Amerykańskie były wtedy tylko „dzemsy” i wilyzy, należące do firmy. — Co to była za robotar?

— Roboty miałem moc. Wtedy w śmieć musieliśmy się zajmować wszystkimi. Zbiorem ogłoszeń, bo nie było biura ogłoszeń. Prenumerata, bo nie było prenumeraty pocztowej. Drukiem gazet, w zakładzie przy ulicy Zamojskiej. Kolporterem, bo nie było „Ruebu”, a w Lublinie latniało tylko kilkanaście stałych punktów sprzedaży prasy. Obsługiwała nas setka indywidualnych kolporterów, którzy u-wijali się po ulicach miasta, nawolu-łubelskiej głośno do kupna gazet.

— Ciekaw jak przedwojenni gazetiarze, element folkloru ulicy.

— No, ależ zupełnie. Nasi „gazetiarze” to byli sprzedawcy zresztem w Związku Zawodowym Kolporterów.

— Kogo pan wspomina z tamtych lat?

— Przede wszystkim Stanisława Pa-nieckiego, pedagoga, sławiste i tłumacza, człowieka o niespolitym uroku osobistym, będącego wówczas dyrektorem delegatury „Czytelnika” i redaktorem naczelnym „Gazety Lubelskiej”, ulubionym moim szefem.

— „Gazeta” miała krótki żywot.

— W jej miejsce pojawiło się „Życie Lubelskie”, pod redakcją — nie-bawem — Andrzeja Szczypiorowskiego, jako mutacja „Życia Warszawy”. Tendencje centralistyczne dawały już o sobie znać.

— A pan?

— Ja jeszcze trochę byłem adminis-tratorem w „Życiu”, ale w 1949 roku przeszedłem do pracy w aparacie WK SD w Lublinie, będąc równocześnie

przedstawicielem „Kuriera Codziennego” na Lubelszczyźnie.

— A kiedy pan wypłynął znów jako wy-dawca?

— W grudniu 1956 roku uchwała Prezydium MRN w Lublinie powołało komitet organizacyjny „Kuriera Lu-belskiego”. Zostałem członkiem tego komitetu wraz z Haliną Chabrosową, Ryszardem Nafalskim i Jerzym Tur-zańskim. Ale potrzebowaliśmy wy-dawcy, gdyż „Czytelnik” tymczasem rozwiązał swoje delegatury w terenie... — Decentralizacja.

— Po trosze. W lutym 1957 roku po-wstała Lubelska Spółdzielnia Wydaw-nicza, której byłem jednym z 34 członków-zalożycieli i zostałem pre-żesem zarządu.

— Więc wszystko szło gładko i...

— Broń Boże! Żeby LSW mogła podjąć działalność merytoryczną i ko-soodarczą, musiała zostać wpisana do rejestru Naczelnej Rady Spółdzielczej w Warszawie. Żeby mogła być tam wpisana, musiała uzyskać uprawnienia wydawnicze z Ministerstwa Kul-tury i Sztuki. Żeby uzyskać te upra-wnienia z MKiS, musiała być wpisana... do rejestru NRS. Dopiero dyrektor Witold Bałucki, ówczesny szef Central-łubelskiej nego Urzędu Wydawnictw, przerwał to błędne koło i zaczęliśmy działać.

— Już bez przeszkód?

— Zaraz, zaraz. Brakowało nam o-niędźdy. Jako cały kapitał zakłado-łubelskiej wy mieliśmy sto tysięcy złotych, po-łubelskiej zyczone od Miejskiego Komitetu Czyn-łubelskiej nów Społecznych, któremu przewodni-łubelskiej czył wtedy Józef Gradkowski, sekre-łubelskiej tarz Prezydium MRN i członek-zalo-łubelskiej zyciel LSW. Początkowo trzeba też było pożyżać papier na wydawanie „Kuriera”...

— A więc „Kurier Lubelski” ruszył.

— Już 27 marca 1957 roku. Ale gro-łubelskiej ziła przerwa w edycji gazety właśnie ze względu na brak papieru. Wtedy delegacja LSW udała się z wizytą do-łubelskiej ministra rolnictwa i leśnictwa. Poje-łubelskiej chał z nami do Warszawy poseł Sta-nisław Lejwoda i dzięki jego ostrym-łubelskiej popisom krasomówczym papier otrzy-ma-łubelskiejaliśmy, choć zirytowany minister-łubelskiej wykrzyknął w pewnej chwili podczas-łubelskiej rozmowy: „Panie pośle, ja z pistole-



tem przy głowie rozmawiać nie be-de!”

— Pożyżki oddaliście?

— Ruszyło biuro ogłoszeń, gazeta zaczęła zarabiać, wszystko solacił-łubelskiej my co do grosza.

— Pierwsza kadzka LSW?

— Wydana w 1957 roku „Lubelska Rada Delegatów Robotniczych” Stani-łubelskiej sława Krzykały. Stron 112, nakład 2000 egzemplarzy, cena 11 złotych.

— Ile wtedy kosztowało pół litra?

— To są żadne porównania. Książki

wówczas były tanie, a wódka jeszcze-łubelskiej tańsza. W każdym razie trzyletni bi-lans LSW zamyka się 40 tytułami o-łubelskiej łącznym nakładzie 212 tysięcy egzem-łubelskiej plarzy, w tym edycje tej miary: co

„Dziennik z lat okupacji Zamojszczy-łubelskiej zany” Zygmunta Klukowskiego czy ka-łubelskiej pitalne wspomnienia Adama Matus-łubelskiej kiego pt. „Wojna, ludzie i medycy-łubelskiej na”...I wiem, że gdybyśmy na począt-łubelskiej ku zatamali ręce, to może nie jsmia-łubelskiej łoby dziś Wydawnictwo Lubelskie ja-łubelskiej ko przedsiębiorstwo państwowe...

— Którego jest pan od początku, czy od 1956 roku, sekretarzem i jednym z-łubelskiej głównych organizatorów. Pomówmy teraz-łubelskiej o dzisiejszych sprawach edytorskich...

— Nie pomówimy, bo to zupełnie od-łubelskiej rebný temat do zupełnie odrębnej roz-łubelskiej mowy, a pan mnie wyciągnął na-łubelskiej wspominki.

— W takim razie nie będziemy też mówić-łubelskiej o pańskich dokonaniach autorskich. Ale-łubelskiej wiem, że pilnie pan fraszki. Proszę-łubelskiej dzieć jakąś frazję.

— Kto nie ma fiata.

— Ten nie demokracja.

— A pan ma fiata?

— Właśnie sobie ostatnio kustum-łubelskiej 126 p. — standard jako pierwszy sa-łubelskiej mochód w życiu, nie licząc skody z do-łubelskiej mobilu w latach pięćdziesiątych.

— Po czterdziestu latach pracy dorob-łubelskiej się pan „malucha”. Jest pan zadowolony?

— Tak. A najbardziej z trójką niek-łubelskiej nych wnucząt.

Rozmawiał: M. P.

Ekscentryczny pan Bowie

EFEKTOWNĄ kompozycją „Absolute Beginners” z filmu Juliana Temple pod tym samym tytułem przypominał się słuchaczom David Bowie — postać zasłużona dla muzyki, określanej rockową. Kilkakrotnie udało mu się wpłynąć na jej bieg. Mimo dojrzałego wieku (39 lat) Bowie jest wciąż wykonawcą młodym, aktywnym i niezwykle pomysłowym. Wspólne występy, video-clipy i nagrania z Mickiem Jaggerem oraz Tiną Turner potwierdzają to najlepiej. W przeszłości uważano go za zwirowanego dziwaka i szariatana z farbowanymi na pomarańczowo włosami. Dławił się go jako wybitnego twórcy, który nadał nowy kurs muzyce lat osiemdziesiątych. Od wielu lat otacza go atmosfera intrygującej zagadki. Nic dziwnego, Bowie nie jest postacią tuzinkową. Z powodzeniem występuje w roli piosenkarza, kompozytora, muzyka i aktora. Legitymuje się 25 longplayami. Ostatni („Tonight”) wydała w ubiegłym roku firma „EMI”.

Urodził się 9 stycznia 1947 roku jako David Robert Hayward Jones. Przygodę muzyczną rozpoczął w Londynie. Był wówczas saksofonistą, zapatrzonym w progresywnego bluesa. Później uczył się grać na gitarze i syntezatorach. Lata nauki w Bromley Technical High School zaowocowały ujawnieniem zdolności malarskich, których nie omieszkał wykorzystać. W 1966 roku David podpisał pierwszy w życiu kontrakt płytowy z firmą „Pye”. Nagrał dla niej nie zauważone przez fanów single. Nie pozostawało mu więc nic innego, jak przenieść się do Londen, szczęśliwszej dla siebie wytwórni. Wybrał „Decca”. Ta wydała jego debiutancki album „The World of David Bowie”.

Niestety, pech nie opuszczał kandydata na idola. Melodyjna, popowa muzyka nie zagwarantowała sukcesu ambitnemu wokaliście, śpiewającemu z aktorskim zacięciem. Rozczarowany tą porażką, uciekł David przed światem do... klasztoru buddyjskiego na terenie Szkocji. Kiedy zdecydował się powrócić na scenę, był już odmieniony duchowo i muzycznie. Szansę powodzenia upatrywał w agresywnym rocku. Pod wpływem fascynacji ruchem „dzieci-kwiatów” nagrał z Markiem Bolanem (późniejszym liderem T. Rex) „awangardowy” krążek „Space Oddity”, czym rozpoczął... astronautyczny rozdział w swej karierze muzycznej. Kontynuacją był związek z zespołem Spiders From Mars (Pajęki z Marsa). Stworzył z nim kilka szokujących artystycznie i przez to doskonale sprzedawanych płyt. To właśnie z Pajękami wcielił się David w kontrowersyjną postać astronauty biseksualisty Ziggy Stardusta. Z pomarańczową czupryną przemieniał Ziggy koncerty w niesamowite misteria. Wokół jego postaci tworzyła się co najmniej dziwna atmosfera, prowokowana przez wykonawcę zaskakującymi zdjęciami, okładkami płyt i wywiadami dla prasy.

Niespokojny artysta z dziwacznymi pomysłami inspirował wielu utalentowanych muzyków. To jemu zawdzięczają rozgłos zespoły Mott The Hoople i Devo oraz, równie jak on sam ekscentryczny wokalista, Iggy Pop. W Stanach Zjednoczonych, dokąd wyemigrował się z Londynu w początkach lat siedemdziesiątych, patronował wykonawcom z kregu punk rocka. Niesłychanie dużo komponował. Mógł więc wydać niemalże płyt (w latach 1972-78 aż dziesięć albumów). Bardzo gorące przyjęcie nie tylko amerykańskich słuchaczy, poparte dodatkowo złotymi i platynowymi płytami, dopinowało wykonawcę do bardziej wzmo-

żonej pracy. Pochłonięty eksperymentami dźwiękowymi, potrafił spędzać w studiu nagrań kilkanaście godzin bez przerwy. W owym czasie był już sławny i bogaty. Tym śmieiej mógł wychodzić z zaskakującymi pomysłami.

Muzyczne dokonania Bowiego miały trzy różne fazy tematyczne. W pierwszej, filozofujący artysta mówił często i zagładzie atomowego świata i czyhającej śmierci. W drugiej zajmował się tematyką muzyki rockowego narażonego na liczne niebezpieczeństwa grożące mu ze strony szalonej publiczności. Mówił jakby o sobie, skupiając uwagę na wielkości doznań i przeżyć. Trzecia faza, najbardziej przejrzysta dla fanów, dotyczy problemów ogólnoludzkich, ważnych i czytelnich dla każdego.



Repr. Adam Trochimiuk

Muzyka to wielka namiętność Davida Bowie, lecz nie jedyna. Drugą jest oczywiście film. Debiutował na ekranie w 1976 roku rolą przybysza z obcej planety w obrazie „The Man Who Flew To Earth”, za którą otrzymał Oscara. Później pokazywał się w filmach „Just A Gigolo” (obok Marleny Dietrich), „Wally”, „The Hunger” (z Catherine Deneuve, wyświecłanym u nas jako „Zagadka nieśmiertelności”) i „Merry Christmas Mr. Lawrence”. Ekscentryczne kostiumy, szokujące fryzury oraz rozliczne skandale towarzyszące wystawili Davidowi opinię zachłannego na sławę „sensata” o niesłychanym temperamencie, wybujałej wyobraźni i wrodzonej przekorze wobec ustalonych kanonów. Sądzę, iż jest w tej opinii coś z prawdy, ale dzięki niej właśnie zachował artysta rozgłos przez wiele lat, mimo zmieniających się muzycznych mód.

Co by o nim powiedzieć, trudno odmówić Bowieemu talentu i pracowitości. W ciągu 18 lat zwirowanej przygody z muzyką dokonał wiele, zawsze opowiadając się po stronie odbiegającej od przeciętności sztuki. Pewnie dlatego uznano go promotorem nowej fali. Ostatnimi laty Bowie zrezygnował z dziwacznych eksperymentów na rzecz elegancji i komunikatywnego rocka. Możemy spodziewać się od niego niejednej muzycznej niespodzianki.

Istvan Grabowski

Impresje i notowania pofestiwalowe

WRZESNIOWY XI Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku zakończył się ponad dwa tygodnie temu; jego wyniki są znane, informowała o nich szeroko prasa codzienna, a Telewizja Polska w II programie w dniach trwania tej imprezy poświęciła jej na bieżąco wiele miejsca. Dlatego, jako bezpośredni obserwator, który w ciągu dziewięciu dni obejrzał kilkadziesiąt filmów kinowych i telewizyjnych (stających do konkursu, a także prezentowanych w tzw. sekcji informacyjnej i w ramach pokazów specjalnych oraz imprezy „Interfilm '86”), chciałbym podzielić się z czytelnikami „Ekranu i Widza” raczej pewnymi osobistymi pofestiwalowymi impresjami. Myślę, iż wolno mi także przedstawić pewne własne „notowania”, dotyczące przyszłej frekwencji i kasowości zaprezentowanych na festiwalu filmów. A jest to o tyle istotne, że od pewnego czasu prasa wciąż podnosi problem nierentowności polskich filmów oraz braku zainteresowania polskim kinem ze strony tak zwanej szerokiej widowni.

Otóż myślę, że w nadchodzącym sezonie nie będzie z tymi sprawami aż tak bardzo źle. Na festiwalu pojawiło się kilka filmów, które — nie wdając się w tej chwili w drobiazgową ocenę ich poziomu artystycznego — będą miały masowy odbiór. Były też filmy na poziomie naprawdę bardzo wysokim, świadczące o niesłabnącej artystycznej wnie ich twórców, takie, które już wkrótce wejdą na ekrany, i te, których skierowania do kin wciąż oczekujemy. Nie jest więc ostatnio z polskim kinem aż tak źle, jak to jeszcze niedawno mogło się wydawać.

Trzeba w tym miejscu podkreślić, że jak rzadko kiedy na tego rodzaju imprezach, werdykt jury pokrywał się zasadniczo z opinią festiwalowych widzów, nie wzbudził protestów ani gorących dyskusji. Z dwoma wszakże zastrzeżeniami.

Po pierwsze — większość uczestników festiwalu była zaskoczona (w tym także piszący te słowa) faktem przyznania Grand Prix filmowi Witolda Leszczyńskiego „Siekierzada” według znanej powieści Edwarda Stachury. Wydaje mi się, że ten skądinąd piękny film wspaniale fotografowany przez Jerzego Łukaszewicza, z bardzo interesującym i „trafiającym w sedno” Edwardem Zentarą w wiodącej roli Janka Pradery oraz kapitalnie zagraną przez Ludwika Paka postacią leśnego drwala Peresady, wart był raczej jednej z nagród głównych („Srebrnych Lwów Gdańskich”) lub nagrody specjalnej jury (którą przyznano „Cudzoziemiec” Ryszarda Bera, nakreślonej według scenariusza Marii Kuncewiczowej). Być może „Złote Lwy Gdańskie” dla „Siekierzady” były jakimś wyjściem kompromisowym w dyskusjach jury, kosztem innych propozycji. Tak czy inaczej „Siekierzada” to film bardzo dobry, trudny do zakwalifikowania do jakiegoś określonego kinowego schematu. Ze względu na wyjątkowe ostatnio zainteresowanie postacią samego Stachury i jego twórczością będzie on z pewnością filmem niezwykle kasowym i frekwencyjnym.

Po drugie — uważam (tak jak bardzo duża grupa obserwatorów, recenzentów i innych widzów), że wyraźna krzywda stała się Magdalenie Łazarzkiej (notabene jest ona młodszą siostrą Agnieszki Holland) i jej filmowi telewizyjnemu „Przez dotyk”. Ten debiutancki obraz, film bardzo dojrzały, mądry, wzruszający, film głęboko ludzki, ukazujący osobiste doznania oraz wzajemne relacje między dwiema leżącymi w szpitalu na oddziale onkologicznym młodymi kobietami, został jakby nie zauważony przez jurorów. Fakt przyznania operatorowi Krzysztofowi Pakulskiemu „Brazowych Lwów Gdańskich” za doskonale zdjęcia do tego filmu (ale za zdjęcia także do filmu „Ucieczka” Tomasza Szadkowskiego) niczego tutaj nie zmienia. Mam nadzieję, że Magdalenie Łazarzkiej oraz dwóm wiodącym aktorom owego filmu: Marii Ciunelis (Teresa) i Grażynie Szapolowskiej (Anna) jakąś częściową przynajmniej rekompensatę i satysfakcję dało przyznanie filmowi „Przez dotyk” nagrody dziennikarzy akredytowanych przy festiwalu. Ja także głosowałem za tym filmem...

Całkowicie słusznie należały się główne nagrody („Srebrne Lwy Gdańskie”) za reżyserię filmów kinowych Feliksowi Falkowi, autorowi „Bohatera roku”, i Radosławowi Piłowskiemu za jego obraz „Kochankowie mojej mamy” oraz Jerzemu Domaradzkiemu za telewizyjny „Więliki bieg”. Ten ostatni film, który kilka lat przeleżał w magazynach w randze „półkownika” został wreszcie wydobyty na światło dzienne i — jakże słusznie — nagrodzony. Rozgrywający się w latach „błądów i wypaczeń” w środowisku młodzieżowym, poza wszystkim innym świetnie „trafiony” w realia plastyczne, kostiumowe oraz obyczajowe tamtej epoki, powinien mieć dużą widownię. Jeżeli oczywiście zostanie skierowany — niezależnie od małego ekranu — także do sal kinowych.

Filmem frekwencyjnym będzie z pewnością „Bohater roku”, jakby dąsła, współcześnie dziejąca się, część „Wodzireja” z niezawodnym Jerzy Stuhrem w głównej roli. Co do „Kochanków mojej mamy” to film ten przeszedł już wcześniej przez ekrany z ogromnym powodzeniem. Szkoda, że zabrakło nagrody za pierwszoplanową rolę kobiecą dla doskonalej w „Kochankach” Krystyny Jandy. Ale niestety taka nagroda jest tylko jedna i słusznie otrzymała ją Ewa Wiśniewska, której kreacja postaci Róży w „Cudzoziemcu” Ryszarda Bera stała się wręcz sensacją festiwalu.

Na wielką kasę może liczyć film Janusza Majewskiego „C.K. Dezerterzy” (wyświetlany w Gdańsku poza konkursem), komedia w klimacie szwejkowskim, obsadzona w realiach armii austriackiej z końca I wojny światowej, gdzieś „między burdelem a koszarami”. Pełna rubasznego dowcipu oraz seksu na wesoło, ale bez wulgarności i chamstwa.

Poza tym może liczyć na „kasę” oczywiście „Cudzoziemka”, nakreślona bardzo starannie i z dużą kulturą, choć chyba bez dostatecznej pasji. A także „Nad Niemnem” Zbigniewa Kuźmińskiego, choćby ze względu na „zaliczenie” Elżyny Orszkowskiej przez szkoły z całej Polski. No i na koniec film Bohdana Poręby, „Złoty pociąg”. Obraz historyczno-przygodowy o transporcie polskiego złota we wrześniu 1939 r. przez Rumunię na Zachód. Ale o tym iście westernowo potraktowanym przez reżysera wycinku historii najnowszej Polski oraz o filmach, o których wspominałem powyżej, będę się starał pisać osobno i szerzej, w miarę pojawiania się ich na ekranach.

M.D.

PS. Największymi wydarzeniami festiwalu stały się wyświetlone na pokazach specjalnych — „Kronika wypadków miłosnych” Andrzeja Wajdy oraz „Piraci” Romana Polańskiego (już z polskimi napisami).

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopicowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Maria Denys, Mirosław Darecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński, Kjerownik Zdzisław Uteracki, Ireneusz J. Kamiński (komentator), Lidia Wojcik (redaktor techniczny) - Ewa Dybek (korektor) - Barbara Cebaa. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótno w sprawach literackich przyjmując interesantów kierownik Zbiutu w piątek w godz. 14-16. Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie al. Umiecka 1. Wydawca Robotelnia Spółdzielcza Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 2, tel. 253-30. Adres redakcji: 20-025 Lublin al. Skłodowskiej 1/1. Telefon: sekretariat, redaktor naczelny s-ca redaktora naczelnego 253-83, sekretarz redakcji 218-83, dział publicystyki i literacki 273-33. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-029 Lublin, skrytka pocztowa 121, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Tajemnice mózgu przestępcy

Jak przeniknąć tajemnice mózgu przestępcy? Czy przestępczość jest zjawiskiem wyłącznie społecznym, czy też ma swe podłoże biologiczne? Jak wykorzystuje się najnowsze zdobycze nauki w kryminalistyce? O sprawach tych pisze obszernie „Le Figaro Magazine”. Materiał podajemy w skrócie i częściowym omówieniu.

WZROST przestępczości, narastające w społeczeństwie poczucie zagrożenia to wielki problem naszych czasów. Nigdy też zarówno samo przestępstwo jak i człowiek, który je popełnia, nie interesowały tak bardzo naukowców i badaczy z wielu dziedzin. Osądzmy sami: John Hinckley — człowiek, który usiłował zamordować prezydenta Reagana, poddany został wyspecjalizowanym badaniom za pomocą scannera — ultranowoczesnego urządzenia elektronicznego, które potrafi w formie wizualnej ukazać tajemnice mózgu. Kenneth Bianchi — dusiciel z Hillside (USA) wzbudził wśród luminarzy psychiatrii zagorzałą dyskusję na temat wielorakiej osobowości. W pismach specjalistycznych roi się od artykułów o „księżycowych mordercach” — zbrodniarzach operujących podczas pełni księżyca. Zbrodnie popełniane przez kobiety w okresie poprzedzającym miesiączkę dają powód do sporów prawniczych co do stopnia winy morderczynie...

Postępy wiedzy biologicznej skłaniają do spojrzania na kryminologię pod innym kątem, do traktowania przestępczości nie tylko jako konsekwencji określonych warunków i czynników społecznych, lecz także przez pryzmat samej natury człowieka. To nowe podejście inspirowane jest w dużej mierze przez medycynę i biologię. Drugą domeną, która ostatnio burzliwie się rozwija, jest kryminalistyka, badająca nie przestępcę, lecz jego czyn. Ma ona już na swoim koncie wiele osiągnięć, jak chociażby w dziedzinie balistyki czy daktyloskopii. Jednakże pod wpływem najbardziej zaawansowanych badań kryminalistyka przeżywa obecnie prawdziwą rewolucję i to w dziedzinach wręcz zaskakujących. Jednym z wielu tego przykładów jest entomokryminologia — wiedza mało znana, lecz mogąca się już pochwalić pięknymi rezultatami.

Oto sprawa Ruxtona, od której wszystko się zaczęło. W 1935 r. w jednym ze szkockich wozów odkryto przypadkiem szczątki ciała ludzkiego. Naukowiec z Edynburga, sir Sidney Smith, pobrał z tych szczątków kilka larw. Przyjmując za podstawę czas trwania ich rozwoju wydedukował datę śmierci, co skierowało śledztwo na właściwe tory i umożliwiło zidentyfikowanie ofiar. Ostatecznie dr Buck Ruxton przyznał się do zamordowania swej żony oraz służącej.

Od tego czasu entomokryminologia osiągnęła wysoki stopień doskonałości. Owady lokują się w miejscach dokładnie sprecyzowanych, więc ich obecność na zwłokach może stanowić niezmiernie cenny dowód rzeczowy. Tak np. prof. Nuorteva z Helsinek był w stanie udowodnić, że kobieta, którą znaleziono martwą, przybyła z Turcji, ponieważ w jej zwłokach odkryto larwy owadów zawierające tylko nikiel ślady rtęci, co wskazywało, że denatka pochodziła z okolic o niewielkim skażeniu środowiska.

Antropologia kryminalna to inny z dość dawno już znanych kierunków badań, który w ostatnich czasach odnosi ogromne sukcesy. W Argentynie, po objęciu władzy przez prezydenta Raula Alfonsina, amerykański antropolog, Clyde Snow, wniósł znaczny wkład do identyfikacji szczątków osób uznawanych za zaginione. Dzięki najnowocześniejszym analizom genetycznym udało się nawet zidentyfikować szczątki wymordowanych członków rodziny pewnej pary Argentyńczyków, straconych na mocy wyroku. W tej właśnie dziedzinie odkrycia wydają się najbardziej efektywne. Dzięki wiedzy o grupach krwi i niektórych jej częstotliwościach można było już dawniej przeprowadzać identyfikację genetyczną dla celów kryminologicznych bądź też dla ustalenia ojcostwa z dużą dozą prawdopodobieństwa, szacowaną na 99,9 proc. Jednak metoda ta, oprócz owej 0,1 proc. niepewności, miała też inne zaskakujące mankamenty, np. jeżeli ślady krwi były zastarzałe nie można było przy jej użyciu ustalić pewnych cech charakterystycznych.

Nic więc dziwnego że, ogromne zainteresowanie wywołało odkrycie, podane niedawno do wiadomości publicznej przez genetyka z Leicesteru, Aleca Jeffreysa: chodzi tu o linie papilarne DNA (DNA — kwas dezoksyrybonukleinowy, najważniejszy składnik chromosomów, zawierający informację genetyczną, decydującą o dziedziczeniu — przyp. red.). Dzięki biologii molekularnej osiąga się tu absolutną precyzję. Alec Jeffreys stwierdza autorytatywnie: „Linie papilarne DNA zrewolucjonizują kryminologię biologiczną, zwłaszcza jeśli chodzi o identyfikację osobników, podejrzanych o dokonanie gwałtu”. Mając do dyspozycji najmniejszy choćby ślad biologiczny: włos, krew lub spermę, Alec Jeffreys potrafi zbadać materiał genetyczny, różniący jednego osobnika od drugiego i ustalić jego cechy charakterystyczne z absolutną precyzją. Metodę tę można ponadto stosować do szczątków nawet bardzo starych: dała ona doskonałe rezultaty w odniesieniu do mumii, leżącej sobie 2400 lat oraz do skóry sprzed 140 lat. Można jej użyć przy ustalaniu ojcostwa, zaś w kryminologii zapowiada się najbardziej interesująco dla przypadków gwałtu. Nawet najmniejszy ślad nasienia umożliwi zidentyfikowanie sprawcy ze stuprocentową pewnością.

Jest tylko jeden problem: metoda jest zupełnie nowością i można ją praktykować wyłącznie w bardzo wyspecjalizowanych laboratoriach. Tak więc powszechne jej zastosowanie jest dopiero kwestią przyszłości. Na razie można jej użyć tylko wówczas,

gdy chodzi o jakiejś zupełnie wyjątkowej sprawy. Jednakże przestępcy powinni się mieć na baczności: genetycy są już na ich tropie.

Od dawna człowiek starał się zrozumieć zjawisko przestępczości. Większość podstawowych teorii i hipotez w kryminologii opiera się na badaniach psychosocjologicznych. Jednakże nowe odkrycia w biologii zachęcają do formułowania innych hipotez. Nie wykluczają one oczywiście tych poprzednich, bowiem przestępczość jest przede wszystkim zjawiskiem społecznym, spowodowanym przez rozliczne przyczyny. Niemniej prawdą jest, że ułomności biologiczne mogą utrudniać recydywistom przystosowanie się do ogólnie panujących norm, lub też sprawiać, że człowiek staje się przestępcą, bowiem traci na pewien czas takie przystosowanie, stanowiące skądinąd stałą cechę normalnej osobowości.

Karl Christiansen z uniwersytetu kopenhaskiego wykazał w swych syntetycznych badaniach, że skłonność przestępcze u bliźniąt występuje mniej więcej dwukrotnie częściej w przypadku bliźniąt jednojajowych — tych prawdziwych, które mają identyczną dziedziczość, niż u bliźniąt dwujajowych, u których podobieństwo genetyczne jest takie samo jak między „normalnymi” braćmi czy siostrami. Jest to dowód na istnienie istotnego czynnika genetycznego. Inne badania z tej dziedziny ujawniają o wiele ściślejszą korelację między przestępczością synów przysposobionych a przestępczością ich ojców biologicznych niż między przestępczością synów przysposobionych a ich przybranych ojców, co także świadczy na korzyść istnienia skłonności genetycznych.

Innym czynnikiem, predysponującym do skłonności przestępczych, jest obecność dodatkowego chromosomu płciowego (X lub Y). Udowodniono zostało, że ludzie z chromosomami XYY (zamiast normalnym XY), a więc nosiciele osławionego „chromosomu zbrodni” jak błędnie nazywają go środki masowego przekazu, bynajmniej nie zawsze mają skłonności przestępcze, niemniej takie ryzyko występuje u nich czterokrotnie częściej niż u porównywalnych osobników o normalnym układzie chromosomów (u jednostek z chromosomami XXY prawdopodobieństwo skłonności antyspołecznych jest jak 1:3).

Dzięki pracom etologów czyli specjalistów studiujących zachowania, wiemy, że podobieństwo (jak i u zwierząt) zachowania człowieka w życiu codziennym mają wyznaczać i chronić to, co uważa on za swoje osobiste lub zbiorowe terytorium. Czuje się bezpiecznie u siebie i źle toleruje wdzieranie się obcych do tego swojego obszaru. To „naturalne” odczucie jest od dawna uznawane przez prawo, które karze za pogwałcenie zacisza domowego i wybacza lub usprawiedliwia akty przemocy, wynikające z jego obrony. Na tej zasadzie osobnik — nie zaakceptowany, nie zaproszony lub nie tolerowany — wdzierając się w czyjś osobisty obszar powoduje słabsze lub silniejsze reakcje emocjonalne. Reakcje takie wydają się znacznie gwałtowniejsze u brutalnych przestępców. Powszechne wśród zwierząt zachowania towarzyszące polowaniu spotyka się również wśród przestępców, którzy traktują innych ludzi jak nędzną zwierzynę łowną. Obserwowane u zwierząt czelkowskie zachowania przebijające na wolności stosunki dominacji — podporządkowania znajdują swoją bardzo wyraźną replikę, zwłaszcza w bandach i gangach przestępczych.

W prasie specjalistycznej ukazuje się ostatnio wiele artykułów na temat wpływu faz księżyca na popełnianie morderstw. Niektórzy specjaliści reprezentują pogląd, że są one popełniane zdecydowanie częściej w okresach pełni lub pierwszej kwadry księżyca. Postawiono hipotezę, że siła przyciągania księżyca działa też na organizm człowieka, który w 80 proc. składa się z wody. Niektóre szczególnie podatne jednostki mogą więc, podobnie jak zwierzęta, doznawać z tego powodu zakłóceń w emocjach i zachowaniach. Potwierdza to przykład pewnego przestępcy, który dokonał dziesięciu nocnych napadów, z czego pięć przypadło na okres pełni księżyca, a dwa na okres pierwszej kwadry. Gdy przeprowadzono u niego specjalistyczne badania, stwierdzono w tych właśnie okresach anormalnie wysoki poziom wydzielania adrenokortykotropiny i melatoniny (zwanych hormonami stresów i nocy) oraz inne jeszcze objawy, dowodzące szczególnego napięcia neurohormonalnego. Ostatnio w Indiach przeprowadzono badania statystyczne, z których wynika niezbicie, że „szczyt” przestępstw kryminalnych z użyciem przemocy przypada na okres pełni księżyca.

Inną sprawą, przykuwającą uwagę kryminologów, jest tzw. zespół przedmenstruacyjny. W okresie poprzedzającym bezpośrednio miesiączkowanie niektóre kobiety są bardzo rozdrażnione, a ich zachowanie może być agresywne lub irracjonalne. W swych badaniach prowadzonych wśród więźniarek, dr Katharina Dalton z Londynu stwierdziła, że co najmniej połowa spośród tych, które skazane zostały w okresie aktywności płciowej, popełniła przestępstwo podczas menstruacji lub tuż przed nią. Sądowictwo anglosaskie przyjmuje niekiedy zespół przedmenstruacyjny jako okoliczność łagodzącą. Warto dodać, że w odniesieniu do takich przypadków zapobiegawcza kuracja hormonalna może dawać rezultaty.

Jeśli chodzi o osoby niepełnosprawne umysłowo, to większość z nich nie stanowi żadnego zagrożenia, jednakże są i takie, które mogą popełnić prze-

Dokończenie na str. 10

1	2	3	4	5	6	7
14	15	16	17	18	19	20
27	28	29	30	31	32	33
	40	41	42	43	44	45
52	53	54	55	56	57	58
65	66	67	68	69	70	71
77		78	79	80	81	82
88		89	90	91	92	93
101	102	103	104	105	106	
113	114	115	116	117	118	119
126	127	128	129	130	131	132
138	139	140	141	142	143	144
151	152		153	154	155	156
						157

Krzyżówka nr 20 szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment książki pisarza, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 14 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami.

Wyrazy pomocnicze

1. mocne sznury, liny — 10, 1, 6, 96, 37, 74, 103
2. konieczna do broni palnej — 8, 25, 97, 18, 60, 73, 119, 53.
3. sidła kłusownika — 21, 52, 71, 38, 72.
4. twórca przyjemnej filozofii — 27, 91, 124, 98, 133, 148.
5. mocny turkot — 4, 11, 29, 65, 42, 76.
6. drzewo z czerwonymi jagodami — 28, 35, 160, 55, 80, 45, 68, 102, 82.
7. miejsce schronienia — 19, 34, 31, 47.
8. objaw nacjonalizmu — 3, 161, 14, 43, 117, 121, 85, 30, 158.
9. dawni mieszkańcy Ameryki — 7, 140, 15, 79, 101, 116, 111, 162.
10. do pomiaru głębokości wody — 62, 32, 94, 90, 125, 138, 110, 115, 46.
11. sprzęt medyczny — 9, 159, 150, 16, 112.
12. kopalny rybojaszczur — 49, 93, 105, 48, 154, 44, 51, 77, 152, 134.
13. na końskiej szyi — 54, 13, 137, 89, 17, 84, 59.
14. staroegipski bóg zmierzających z głową szakala — 24, 87, 66, 153, 130, 40.
15. dzierzawa w dawnej Polsce — 123, 141, 12, 33, 26.
16. mieszka w Rydze — 70, 146, 129, 22, 131, 139.
17. fundament — 57, 5, 2, 50, 64, 39, 100, 122.
18. poobiednia drzemka — 64, 132, 130, 78, 23, 127.
19. rogaczka — 81, 75, 95, 156, 108.
20. lanie lez — 147, 41, 90, 104, 143.
21. witryna sklepowa — 106, 56, 86, 36, 88, 113, 135.
22. starszy pasterz owiec — 67, 92, 142, 155.
23. strona tułowia człowieka lub zwierzęcia — 126, 149, 107.
24. pod kranem — 20, 59, 137, 63.
25. skrzydło samolotu — 145, 83, 144, 151.
26. radykalna część zespołu ludzi — 128, 118, 109, 114, 136, 69.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 18 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

Ciotka Berta była rozpaczliwie brzydka. Miała masę sterczących, szorstkich, rudych włosów, nieco ciemniejszych od marchwi, jaśniejszych zaś od skrzypiec. A jej zęby, jeśli już ktoś koniecznie chciał określić ich kolor, były istotnie zielone.

Henry Roth
NAZWIJ TO SNEM

Nagrodę wylosowała Piłomena Miłkowska, ul. Ścieżkówek 17 m. 26, 31-422 Kraków.